





ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez autora.

Ogólnego zbioru tom czwarty.

DWA ŚWIATY

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. L. Kraszewskiego.

Z portretem autora.



Widziałem wszystko co się dzieje pod słońcem,
a oto wszystko marność i utrapienie ducha.

Ekklesiastes R. I. w. 14.

Każdy z nas dźwiga swe brzemię...

Anonym.

Wydanie nowe, przejrane i poprawione przez autora.

TOM IV.

E. Trajpczyński

LWÓW,

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha 1. 43.

1872.



Nakładem Bogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

I.

Dom państwa Jerzych Kara-Chan Gerajewiczów w Sytkowie był jednym z najoryginalniejszych w okolicy; ninu jednak, wprowadzając was do niego kochani czytelnicy, damy wam poznać znaną parę gospodarującą w tym pałacyku i ukochaną jedynaczkę, a przyszłą Sytkową z przyległościami dziedziczkę, pozwólcie tylko, byśmy wprzód nazwisko i pochodzenie tych państwa wam wytłumaczyli. Możecie się poniekąd domyśleć, że Gerajewicze nie byli prastarą szlachtą i krwią pańską naszego kraju. Arystokracja wszędzie łatwo się przesadza i przyjmuje: mamy Poniatowskich we Włoszech przedziwnie aklimatyzowanych, Walewskich we Francji, a u nas i Niemców i Włochów i Francuzów i Holendrów już przyswojonych doskonale i za rodziną uchodzących arystokrację; czemużbyśmy się dziwili Gerajewiczom? Tak dalece jest to we zwyczaju pańskim wywodzić się zawsze nie z domu, ale z za morza, że niewiele rodzin, noszących nawet nazwiska krajowe, godzą się na rodowód najprostszy i najpospolitszy; nie jeden wolalby uznać za protoplastę tragarza neapolitańskiego lub burgmejstra niemieckiego, niż ubogiego szlachcica lub kozaka; każdy sie wyprasza od początku z własnej ziemi i idzie szukać

w Rzymie, Skandynawji, Grecji, Konstantynopolu, w Dalmacji, Istrii i t. p. zgubionego prapradziada. W księgach heroldyjnnych pełno jest tych pańskich fantazji, w których mitologja, bajeczne plemiona i królowie, książęta nie bywali i potentaci na zakaz potworzeni, leżą u stóp drzew genealogicznych, z ich lędźwi wyrastających... Pan Jerzy Gerajewicz, którego ojciec nie wiem w jaki sposób zrobił ogromną fortunę, znalazł już rodowód jego staraniem wykonany, przydomek Kara-Chana, i nad herbem wyobrażającym trupią głowę i księżyc, paludament książęcy z mitrą, jako zabytek pochodzenia od Gerajów...

Dowodzili oni, że jeden z Gerajewiczów, Burnas-Geraj, w czasie napadu na Litwę za Aleksandra, miał z sobą młode pacholę syna, którego szlachcic litewski, niejaki Jatowt, odciawszy z garścią od ojca, zabrał w niewolę i uprowadził. Upominali się o niego później Tatarzy, ofiarując stu jeńców litewskich zamianą, ale jakoś do zgody o to nie przyszło... Młody Kara-Chan Geraj uwięziony w Kownie siedział bardzo długo, a Tatarzy litewscy, zasłyszawszy o nim, litując się jego losu, wreszcie u króla sobie uwolnienie jego uprosili... Byłby może powrócił do Krymu, gdyby nie córka niejakiego Azulewicza, Tatarzyna z Waki, w której się pokochawszy ożenił i na dobre osiadł już w Litwie. Król Zygmunt nadał mu później znaczne ziemie na Białej Rusi, z których służbę pełnił, krom swych jedynowierców przeciwko wszystkiemu innemu nieprzyjaciółom kraju; syn jego miał przyjąć chrzest i zespolić się ze szlachtą ożenieniem, które go w łaskach u dworu postawiło. Gerajewicze w ten sposób stali się Litwinami, i co później z nimi się działo, jak się przesiedlili na Wołyń, o tem

nie opowiadał nikt z ich rodziny; znajdujemy już ich bogatymi, z mitrą w herbie, panami kilku tysięcy dusz, i mniej więcej przypuszczonymi do pierwszych w kraju towarzystw.

Pan hrabia Jerzy Kara-Chan Gerajewicz żonaty był ni mniej ni więcej z hrabianką Villers, ale z tych to hrabiów pochodząca, których nam namnożyły ostatnie lata panowania Stanisława Augusta. Francuzi i Włosi i Niemcy, co wówczas z płocchości naszej korzystając, robili ogromne fortuny kupeząc, bankierując, frymarcząc pobrali potem przywileje i indygenaty potwierdzające mniemane swe dawne tytuły zamorskie, i tak nie jeden co szuwaks za Sasów po ulicy przedawał, już na sejm grodzieński jechał panem hrabią, ściągając od swych wierzycieli resztki należności... Były to dziwne nasiona nowej arystokracji, z jednej strony odświeżającej się ze sklepów korzennych, z drugiej na Rusi wyrastającej z ekonomów i rządców dóbr zrujnowanych rodzin, którzy rozchwytywali nierządem zmarnotrawione puścizny sławnych niegdyś hetmanów... Masy tych przybyszów dorobiwszy się grosza nagle, a w dorobku jego otarłszy się o panów, nie przeszły do szlachty, któraby koso na nich patrzała, ale wprost nbrane w tytuły zaciągnęły się w szeregi arystokracji. Zrazu śmiano się z nich i szydzono, ale czego pieniądze nie dokażą? przyjęto ich w drugim pokoleniu dosyć wesolą twarzą... w trzecim już ani znaku!

Dom państwa Gerajewiczów, jak pochodzenie ich, był wcale oryginalny; po staremu mówiąc, zakrawał na świątynię muzom i Apollinowi poświęconą; sam hrabia Jerzy, człowiek bardzo ograniczonego umysłu a próżności pełen, zapalonym był miłośnikiem muzyki, grał na

skrzypcach z pasją, i trzymał kwartet; oprócz tego szczycił się biblioteką, gabinetem fizycznym i mnóstwem w domu osobliwości, które goście jak za pańszczyznę oglądać i chwalić musieli. Nikogo nie minęła rewizja wszystkich bogactw sytkowskich, obok których zwykły był gospodarz rozpowiadać cenę za jaką je ponabywał. Nie umiem wytłumaczyć jak to szlachetne zamięłowanie kunsztu i nauki jednoczyło się z najwyższą oszczędnością, która panowała w tym domu, ale jedno nie przeszkadzało drugiemu. Pani hrabina, która grała tylko na szklanej harmonice sprowadzonej z Wiednia i zapłaconej sto dukatów, jak powiadał sam hrabia, we wszystkim sympatyzowała z mężem i dopomagała mu serdecznie; oboje razem zawsze pokazywali gościom cuda natury i sztuki znajdujące się w Sytkowie, gdzie wszystko było cudem. A najpierwszym z cudów ukochana córka gospodarzy, dziecię rozpieszczone po królewsku, którego każde technienie napępniało rodziców uwielbieniem i zachwytem... Panna Zenobja, pospolicie zwana Zeni, była piętnastoletnią dziewczką, delikatną, chorowitą, blond włosów, jasnych oczów, nie brzydką i nie ładną, dość zręczną i szykowną jednak, a tyle przynajmniej o sobie rozumiejącą, ile rodzice o niej trzymali. Wiedziała, że będzie miała posag ogromny, czuła, że o jej rękę dobijać się muszą; nabito jej głowę pięknością, a talent na fortepianie miano za tak nadzwyczajny, iż słów na określenie go brakło. Cały dom żył piękną Zeni, która była jego królową i władczynią; klekał przed nią ojciec, padała matka, najmniejszym dogadzano fantazjom, a zachceń i kapryśników nie brakło.

Nie bardzo się bawiono w Sytkowie, gdyż rzadko tam gość zawitał; lękał się każdy popisów, do których

powodem były odwiedziny, wylewu muzyki, harmoniki pani hrabiny, skrzypców hrabiego skromnie porównywanego się z Lipińskim, fortepianu Zeni i kwartetu... przeglądu osobliwości i ekspensu pochwał i podziwu jakiego to wszystko wymagało. Przyjmowano też gości z największą uprzejmością, zatrzymywano ich i nie puszczano, póki w Sytkowie zostawało co do widzenia.

Do takiego to domu prezes wiozł Juljana; ale będąc na bardzo dobrej stopie sąsiedzkiej przyjaźni z Gerajewiczem i jego żoną, do której przed piętnastą laty wzdychał, miał nadzieję wykręcić się od połowy przynajmniej osobliwości... Palacyk w Sytkowie stał na wzgórzu i z daleka był widziany; otaczał go ogród angielski i zabudowania pokaźne; na frontonie miał herby obojga państwa, pełno sztukaterji, gdzie się tylko pomieścić mogły, a od dziedzińca począwszy, ozdobionego w stare jakieś posagi, zewnątrz i wewnątrz niezliczonymi osadzony był raritiesami... Każda tu rzecz najpospolitsza jakimś prawem uchodziła za osobliwość i powinna była zwrócić oko...

Goście wszedłszy do salonu nie znaleźli nikogo; służący, który ich wprowadził, starszy na pędzie trochę pyłu, polecał oznajmić panu, który robił rachunki, i pani, zajętej głośnie dla córki czytaniem. Zeni trochę miała słabe oczy i matka jej czytywać musiała. ażeby się nie nudziła biedaczka; robotą bowiem żadną zajmować się nie mogła. Nim się wszyscy zeszli, prezes i Juljan mieli czas salon obejrzeć; stał w nim na pierwszym miejscu fortepian Plejela w zielonym płaszczyku, nieco dalej harmonika hrabiny i pudełko palisandrowe ze Stradiwariusem pana; wszystkie meble okrywały kapki szczerlnie poobwiązywane... Na ścianach pełno było

obrazów niczem nie uderzających, których piękności sam gospodarz mógł tylko wskazać; na pulkach mnóstwo fraszek starożytnych, konch, naczynek poothukanych, mniemanych etrusków, dzbanków weneckich, skamieniałości i t. p.

Po malej chwili wpadł zadyszany Gerajewicz; był to mężczyzna lat więcej nieco niż średnich, przystojny, rysów jednak pospolitych, po trosze tyć zaczynający, z twarzą uśmiechnioną, jak zawsze strojny dosyć, we fraku, z szpilką na koszuli ogromną, z większemi jeszcze dewizkami od zegarka i pierścionkami na wszystkich palcach. Każdy z tych pierścieni, niestety! miał historję swoją, niezmiernie ciekawą! Fizjognomja jego wydawała człowieka, u którego wszystko było na pokaz i dla popisu, w którego głąb jeden tylko Bóg mógł zajrzeć... bo on jeden patrzy w otechtanie nicości. Z daleka przypominał trochę kuglarza Włocha lub właściciela gabinetu figur woskowych; rękawy nawet od fraka pozataczane miał jak do roboty. Wszakże nie był to gbur i człowiek złego wychowania; podróże, świat, wykształciły go w pewien sposób; mówił dobrze kilką językami, i w chwilach opamiętania przybierał miny niby pańskie, ale te nieustanne w domu ekshibicje nie dawały mu w nich wytrwać.

Wpadłszy do salonu, pan Gerajewicz przywitał gości z uśmiechem pełnym serdeczności — tak dawno nie nikomu nie pokazywał! wytrząsł prezesa za rękę, omalo nie zjadł Juljana, przed którym jeszcze się ani razu nie popisywał z niczem.

— Jakżem rad moim drogim panom, zawołał... niechże oznajmią pani i Zeni... cóż to za niespodziane szczęście dom nasz spotyka!...

To mówiąc chwycił już gospodarz błędzące po salonie wejrzenia, by zaraz wziąć z nich assumpt do pokazywania swych osobliwości...

Prezes ostrożniejszy, patrzył na posadzkę, z obawą jednak, aby i na niej nie znalazło się co do chwalenia. Julian, że oczy zwrócił ku jednej z pulek, gospodarz zatarłszy ręce, natychmiast sobie wejrzenie jego podbudzoną wytłumaczył ciekawością...

— Widzę, rzekł, że pan spogląda na te naczynka, które są może jedyną u nas w kraju próbką kunsztu, przez Wenetów wyczynioną od Greków... są to takzwane *Vasi a ritorti*, niezmiernej ceny... Mam tę słabość, że się kocham we wszystkich osobliwościach i ogromne sumy wyłożyłem na ich zebranie...

— Gust szlachetny! rzekł prezes trochę szyderezco...

— W naszym kraju, dodał Gerajewicz, ledwie go kto rozumie, obracają to w śmieszność... Zmuszony żyć na wsi, otoczyłem się maleńkiem muzeum... *Vasi a ritorti di latticinio!* — zawołał nie dając sobie przerwać — są bardzo rzadkie i kosztowne; mało zbiorów je posiada... szczególnie naczyń, jak te z figurynką na pokrywie... Co za robota! Albo to naczynie z rodzaju *vasi fioriti* — *mille fiori*; ta flaszka! wspaniała! nie prawdaż? Nawet za granicą jest to wielka osobliwość; chciano mnie podkupić dla muzeum Dusommerard'a, ale się nie dał, i utrzymałem honor kraju!

Juljan pochwalił i oczy odwrócił, ale na nieszczęście wzrok jego padł na zegar w kącie stojący; gospodarz się uśmiechnął.

— Prawdziwy *de Boule*, wysokość dwa metry, centymetrów trzydzieści; wskazuje godziny, minuty, dui miesiąca i sekundy... nieszczęściem nie idzie teraz... Dzieło

sztuki, prawdziwe dzieło sztuki !

— Pełno u ciebie cudów, kochany gospodarzu, — rzekł prezes uśmiechając się. Pan Gerajewicz skromnie wzrok w ziemię utopił, zatarł ręce i odezwał się pocichu :

— Nim moja żona uadejdzie, moglibyśmy pójść na górę i rzucić okiem po bibliotecę i gabinet... nie prawdziważ? nie stracilibyśmy czasu...

Juljanowi, choć go to męczyło, wszystko było jedno, tu czy gdzieindziej chwalić i ziewać; prezes przyjął propozycję i Gerajewicz przez parę pokoiów, w których wskazał tylko *pro memoria* obrazy i otluczone popiersia, poprowadził na górę.

Biblioteka mieściła się w pół okrągłym salonie, w pośrodku którego stół założony był manuskryptami, inkunabulami i próbkami różnych osobliwostek; był nawet kawałek papyrsu... W ogólności, znać było w tem człowieka, co zbierał dla fantazji, ale znał się niewiele i nżytku zrobić z tego nie umiał, jak papuga tylko wyreczywszy się, co miał o każdej powiedzieć rzeczy. Obok istotnie pięknych i ciekawych, były podrabiane, fałszywe, lub niewiedzieć poco wprowadzone tu fraszki...

— Tu! zawołał z zapalem gospodarz wskazując pułki — pod tem popiersiem Beethovena, skarby moje, muzyka! Takiej biblioteki muzycznej, śmiem sobie pochwlebiać, nie mamy w kraju... niech powie Oberhill...

Oberhill był pierwszym skrzypkiem w kwartecie, dyrektorem muzyki w Sytkowie, i zarazem nadleśniczym i buchalterem.

— Począwszy od mistrzów religijnych XV wieku po dzisiejsze czasy, wszystko tu jest... Pan dobrodziej nie wiesz może, obrócił się do Juliana, że my tu całym domem jesteśmy *fanatici per la musica*; o mnie samym

Lipiński, sławny Karol powiada, że w jego kompozycjach odkrywam czego on sam nawet się nie domyślał... Uważa pan, co to za powiedzenie! Moja żona gra na rzadkim instrumencie, harmonice szklanej, ludzie nerwowi mdleją... muzyka aniołów! Zeni, córka moja, przechodzi wszystkich, nawet Liszta na fortepianie; komponuje! improwizuje! Gdyby nie to, że się urodziła milionową, zebrałaby miliony jak Jenny Lind... jak...

Mówiłby dłużej o sobie, gdyby wzrok Juljana nie padł przypadkiem na panoplię, na jednej ze ścian umieszczoną...

— A! to broń wschodnia! jest na co spojrzeć! zawołał Gerajewicz... U nas, dodał zaraz powtarzając pioskę swoją, nikt nic podobnego nie widział, za granicą to osobliwość; na wagę złota płaciłem niemal wszystko. To szabla Tong-King... oprawna tak przepyszenie, odznacza się rzezanemi ozdobami... dalej nóż birmański, kriss malajski (osobliwość!) klewan z Jawy, szabla indyjska... kandżar perski, yatagan algierski... Tarcza we środku jest ze skóry jednorożca, złotem nabijana, dzieło indyjskie! Takiej panoplii nigdzie pan nie zobaczy!!

Niepodobna było uniknąć registrów, gdziekolwiek bowiem padło oko, coś szczególnego znalazł do opowiadania pan Gerajewicz... każda szafa miała swoją historję, każda książka tradycję do niej przywiązaną... każda skorupka była jakąś nieoszacowaną pamiątką...

W gabinecie przyległym stały maszyny: elektryczna, pneumatyczna, stos Volty, hygrometry kunsztowne; chciał gospodarz głodnych gości zaraz naelektryzować i miał już dzwonić na Janka, który obracał zwykle maszynę, ale się jakoś prezes od tego traktamentu wy-

mówił.

— Nic zdrowszego nad elektryczność, rzekł naiwnie gospodarz — przekonałem się sam na sobie; zmęczony, gdy mnie głowa boli, gdy smutny, siadam i każę się tylko naelektryzować; natychmiast sił przybywa, humor powraca, i jakby nie nie było...

Laki chińskie i trochę japońszczyzny w kątku nie wiele zajęły czasu, ale za to musieli choć półgębkiem podziwiać posążek brązowy indyjski *Vira-Bhadra-Mahedeva*, który gospodarz uważał za największą i najszacowniejszą w Sytkowie starożytność, przypisując jej trzy tysiące kilkaset kilkadziesiąt lat... Z powodu jego czterech rąk, mitry, uzbrojenia i rodzaju różańca z czaszek ludzkich, który miał u pasa, wyrecytował im mitologję indyjską niemal całą i na tem się przecie skończyło, bo z dołu przysłała hrabina, że czeka z herbatą w salonie...

Ale to był dopiero początek!...

Zastali na kanapie samą panię, ku której prezes posunął się z uśmiechem wdzięcznym dawnego adoratora, ona zdaleka rumieniąc się podała mu rączkę i powitała go uprzejmie. Niezbyt młoda, z resztką piękności dziwnie i straszliwie wychudłej, z przymrużonemi oczkami, gęstą siecią marszczek otoczonemi, pani hrabina zresztą nie uderzała niczem... była jak wszyscy... Obok niej na kanapie siedziała córka, lalka blond, niebrzydka, ale z miną pieszczonych dzieci, które potrzeba karmić nieustannemi pochlebstwy i dogadzaniem; obie panie były wystrojone nad potrzebę.

Juljana stryj zaprezentował, ale pomimo usilnych podszeptywań jego, Karliński smutny, odurzony, niezmiernie źle się wydać musiał, bo na sobie wesołości, a na-

wet ożywienia nie wymógł. Zeni zmierzyła go okiem i nie okazała wstrętu, może ta nieśmiałość Juljana podobiała się jej właśnie; rozmowa na chwilę poszła trybem zwyczajnym, ale w tym domu trudno ją było utrzymać inaczej, jak z pomocą otaczających rupieci; oboje państwo i przywykła już do tego Zeni, wpadali na muzykę, bibliotekę, muzeum i starożytności. Wszyscy równie to dobrze umieli na pamięć, jak sam pan Gerajewicz. Herbata na jakiś czas wstrzymała przegląd i popisy, ale już w czasie podawania jej, prospekt reszty dnia ułożono: naprzód miał być kwartet, potem gospodarz grać miał duo z córką, gospodyni na harmonice, a na zakończenie Zeni przygotowała koncert-stück Webera i kilka śpiewów Schuberta... Resztę zbywającego czasu poświęcić miano pokazywaniu osobliwości pochowanych po szufladkach...

— Gdybyś tu pan tydzień siedział, odezwał się Gerajewicz zacierając ręce — pochlebiam sobie, że znaleźlibyśmy go czem ubawić i zająć... Juljanowi skóra ścierpła, prezes uśmiechnął się grzecznie.

II.

Słudzy znosili co najprędzej herbatę, w czasie muzyki bowiem, największa cisza panować była powinna w domu i na kaszlących nawet złem bardzo patrzano okiem; a w chwili, gdy ostatnia taca wysuwała się przezedrzwí, pan Oberhill niemiec, z twarzą trzy ćwierci łokcia długą i włosami na tył głowy zarzuconemi, w chustce *a la Colin* zawiązanej, wszedł ze skrzypcami pod pachą. Pan Gerajewicz przedstawił go towarzystwu jako ucznia konserwatorium pragskiego i twórcę sławnej

kantaty na cześć Mozarta, którą grano publicznie w Wiedniu, w roku... nie pamiętam...

Pan Oberhill skromnie i z godnością przyzwoita się uklonił; za nim weszli należący do kwartetu, violino secundo, niejaki Brandysiewicz, z noscin mocno czerwonym, w dniach powszednich rachmistrz, od gości muzyk, w granatowym fraczku i letniem ubraniu dość zaniedbanem; altówka, stary Mejer, eks-członek muzyki kościelnej dominikańskiej w Lucku, trochę kulawy i bardzo głuchy, ale z wielką precyzją odegrywający część swoją, nie oglądając się na drugich; nareszcie violonczella, Jan Sumak, długi, schylony i wpół zgięty mężczyzna, który posługiwał do stołu niekiedy, solo się nie popisywał, ale ucho miał dobre, wedle zdania pana Gerajewicza, a ręce silne, co każdemu łatwo sprawdzić było, bo nie w nim tak nie uderzało, jak te przecogromne z rozstrzęsionemi grubemi palcami, dłonie, któreby za półmiski służyć mogły. Rozstawiono pulpity, rozdano nóty, pan Oberhill trzykroć smyczkiem uderzył i rozpoczęła się muzyka, której pojęcie i uczucie ułatwił pan Gerajewicz miiniką wyrazistą, zwróconą do gości.

Były miejsca, w których przykładł obie ręce do piersi, to znów jedną z nich podnosił ku niebu, mrugał okiem, uśmiechał się ustami, zawieszał na jednej nodze... wahał głową, i choć sam nie uczestniczył w kwartecie, czynny tą sympatją brał w nim udział. Muzyka szła raźnie, gdyż o fraszki się nie turbowano; głuchy Mejer opuścił parę taktów, wyprzedzał więc nieco swych towarzyszków, ale violonczella po bratersku błędy jego pokryć się starała... Najśmielej i najzamaszyściej grał Oberhill; któremu pan sam nóty przewracając, dawał ciągłe oznaki współczucia... nareszcie szumnem tutti

wszystko się skończyło, dwa takty jeszcze po za ostatczy akord wyjechał głuchy Mejer, i głośne oklaski skromnych nagrodziły wirtuozów... *Tutti bravi!!*

Gerajewicz chwalił niezmiernie, ale pocichu, żeby ich w zbytnią nie wzbijać dumę; gdy wyszli, dopiero rozwiódł się nad violonczellą szczególniej.

— Tego człowieka muszę ukrywać, to skarb! — rzekł; odebraliby mi go, przeplacili, szczęściem sam nie wiem jest, bardzo skromny...

To mówiąc wyjmował już z pudełka Stradivariusa, którego naprzód gościom pokazał.

— Na oko, rzekł— nie, pospolite skrzypce, ale dźwięk! ale słodycz tego głosu połączona z potęgą! Kupiłem go we Włoszech; dobijał się oń Paganini, alem przeplacił i posiadał ten skarb. Śmiało mówić mogę, że drugiego takiego instrumentu nie ma w Europie, a zatem i na świecie...

Pociągnął smyczkiem i spojrzał zwycięsko...

— A co? niechże mi tu kto wydobędzie dźwięk podobny!...

Zeni siadła do fortepianu, a pan Gerajewicz stanąwszy przed pulpicikiem, z wdziękiem pozycji nienasładowczym, z przejściem i namaszczeniem rozpoczął grę swoją. Nie powiem jak 'grał, bo tego rodzaju muzyka nie daje się osądzić; to pewna, że się na grę swą wysiłał i ceniował ją potężnie, a gdzie mu czego zabrakło, wybornie zabalamucić umiał. Po każdym solo spoglądał na słuchaczy, wyzywając admiracji jaka mu była należna...

Córka umiała się poświęcić, [towarzysząc ojcu a nie myśląc o sobie... Nastąpiły uniesienia i ściskanie dłoni, które artysta przyjął skromnie, ale niemniej jako hołd

powinny.

— Tę kompozycję Lipińskiego, rzekł, grałem jemu samemu w Dreźnie; uwierzą państwo, że osłupiał!... Widziałem na jego twarzy cień zazdrości i geniusz na nią chornuje!! Nareszcie wyrwały mu się słowa pamiętne: — Pan więcej w mojej kompozycji odkryłeś nade mnie samego! — W istocie, słyszałem go odegrywającego to duo... wielka, przyznam się, była różnica. Może być że skrzypce takie wiele mi do tego pomagają... Lipiński nie mógł się ich napatrzyć...

Otarlszy starannie, gospodarz schował swego Stradivariusa do pudełka i zamknął na kluczyk, który na szyi nosił. Z kolei następowała harmonika, ale tę jeszcze przygotować musiano i goście mieli czas przełknąć pierwsze wrażenia. Hrabina grała z wielką pretensją, ale piękny dźwięk instrumentu, tęskne jego tony i niezwykajne brzmienie, podobać się musiały... Julian jeszcze bardziej posmutniał od tej muzyki żałobnej i powolnej, która go podrażniła...

Na ostatek siadła Zeni do fortepianu, a rodzice oboje, nim grać poczęła, opowiedzieli historję jej talentu, tryumfów, osobliwszą zdatność wirtuozki, wrażenia jakie wszędzie robiła grą swoją, szczególnie na Mendelsohnie — Bartholdy i Meyerberze... Panna, choć delikatna i słabiutka, dobijała się o siłę i energję; nie- szczęśliwy fortepian drżał pod jej maleńką rączką... W istocie grała wprawnie, śmiało, dobrze, ale żadnego wyrazu nie było w tych strumieniach tonów przelewających się szybko, mieniających kuglarsko, skaczących, drgających, syczących, huczących tylko, a nie mówiących do duszy.

Juljanowi przyszła na myśl gra Poli, pełna rzewno-

ści i uczucia, mniej popisowa, ale tak dla niego zrozumiała i jasna! w której tyle było poezji, łez i jęku!!

Po Erlkönigu Schuberta, który zamknął koncert, gdy prezes i Julian dziękowali i unosili się, oboje rodzice poszli uściskać zaczerwienioną jedynaczkę, a matka posadziła przy sobie na kanapie, ażeby wypoczęła... Gera-jewicz szeptał po cichu historyjki o córce niezmiernie ciekawe, jak to się ona uczyła, jak zadziwiała nauczycieli, jakie zbierała laury w epoce gamm i egzercycjów, jakie układała warjacje i fantazje...

Prezes znosił prześlicznie to wszystko. Julian szczerze się nudził; myśl jego była gdzieindziej, śmieszności nawet domu nie bawiły go, bo im się przypatrywać nie miał ochoty... Z upragnieniem czekał chwili powrotu do Karlina; wieczór też się zbliżał, ale gospodarz nie prawie jeszcze był nie pokazał, tyle rzeczy pozostawało do widzenia! Ogród, a w nim osobliwsze źródło śmierdzące, podejrzwane o mineralność; dwa drzewa zrosłe z sobą gałęzmi, kwiaty w oranżerji, ananasarnia, kaplica, stajnia i t. d. i t. d, bo któż to policzy. Prezes obiecywał to wszystko widzieć i admirować innym razem, ale i tak ledwie się wyrwać potrafił... a gdy wyjechali, wybuchnął śmiechem homerycznym... Julian siedział przybity.

— Jakto? nawet to cię nie zabawiło!

— Zmudziło mnie szalenie...

— A panna?

— Mogą ją sobie obok *Vira—Bhadra—Mahadevy* postawić na półce!

— Wszak ładna?...

— Cóż tam brzydkiego?

— A miliony?...

Julian się nie odezwał i w ponurem milczeniu, późną

nocą powrócili do Karlina...

— Wątpię żeby się udało, rzekł prezes — nadto mają charakteru dla Juljana... trzebaby mu coś innego, ale gdzie znajdzie miljony jak tutaj?... Dla nich i ponudzić się trochę warto...

III.

Straciliśmy z oczów Aleksego, ale cóż o nim powiedzieć można? Całe jego życie było wewnętrzne, skupione i obwijało się do koła jednego uczucia. — Kochał Annę co dzień więcej i co dzień głębszym przejmowało go to smutkiem; z tą miłością kryć się musiał jak z tajemnicą, ze zbrodnią, przed całym światem i sobą; pozbawiony wszelkiej nadziei, modlił się tylko do ideału. Biedne to serce ludzkie! powiedział ktoś z wielką trafnością, że każda miłość ma w sobie coś nienawiści; to pewna, że się do niej mięsza często jakaś niechęć i gniew prawie; człowiek nie może poddać się bez walki i ugiąć karku nie westchnawszy nad sobą. Często i Aleksemu zdarzało się w smutnych chwilach zamyślenia, gdy Anny nie widział, gdy marzył o niej, wyszukiwać w niej skaz i plam, rozczarowywać się wymysleniami jej wadami, ale dość było jednego jej wejrzenia, żeby o wszystkim zapomniał. Nie mógł jej wyrzucać, że go nie kochała, bo sam nie sądził się godnym jej wejrzenia; czuł się zbyt nisko i daleko od niej; ale jej miał prawie za złe, że nie kochała nikogo, że nie w niej nie zwiastowało potrzeby silniejszego przywiązania. Nie miała tęsknoty młodzieńczej, szła spokojna i nie oglądała się po nic więcej nad to, co ją otaczało: modlitwa, Bóg, niebo wystarczały pragnieniom jej duszy.

Aleksy znajdował ją świętą, lecz zimną. Z jej oka nie wypłynął nigdy wzrok pełen tęsknych zapytań, z jej piersi nigdy nie uleciało westchnienie... szła opromieniona świętością swoją, nie oglądając się za siebie, nie pragnąc dopełnić życia niczem więcej. Bóg, rodzina, ubodzy zapełniali jej serce, tak, że nikt, zda się, wcisnąć się już tam nie mógł! Aleksy w swoim ideale więcej trochę chciał woni ziemskiej, więcej słabostek ludzkich, więcej może tych poetycznych porywów ku nieznanemu, ku niepojętemu. Dla Auny, która nie wątpiła nigdy, nie było nieznanych i niepojętych krain, do którychby westchnąć mogła... wierzyła głęboko, a wiara oświecała dla niej każdy zakątek teraźniejszości i przeszłości.

Aleksy umyślnie wynajdywał w niej strony słabe, według siebie ułomne, ażeby przestać ją kochać, ale z każdym dniem przywiązanie jego wzrastało tylko, ideał się podnosił, olbrzymiał i zachwycał go więcej. Biedny szalał, a musiał nosić na twarzy obojętność, bojąc się, by go z raju nie wygnano; byłby na największe gotów ofiary, byle u drzwi jej pozostać, czasem głos posłyszeć, czasem uśmiech zobaczyć, schwycić słowo z ust wybiegłe, podumać o miejscu, które pełne było jeszcze jej obrazu... Przykuty więc włókł się dalej, nie skarząc choć bolał okrutnie.

Boleść ta powoli zaczynała się piętnować na jego twarzy, odbiła się w postawie, ruchach, w umyśle... Aleksy stracił swą niezależność, dumę, pokój, wesele, wpadły mu oczy, sposepniały rysy, zamknęły się usta. Pracował, ale go nie nęciła praca, nie czuł celu przed sobą — nie mając nadziei w tem, co go obchodziło najwięcej, nie chciał jej mieć już w niczem. Ile razy pokazywał się w Żerbach, matka coraz smutniej

potrząsała głową, bo jej oczy widziały postęp choroby, której odgadnąć nie mogły; czuła, że tam jej dziecku źle i ciężko być musiało, namawiała po cichu do powrotu, ale Aleksy głową potrząsał ze smutnym uśmiechem i nic na to nie odpowiadał. Nie mając innej rady, udała się wreszcie do hrabiego Junoszy.

— Mój hrabio, odezwała się do niego — mam do jego gomości prośbę... pomóżcie mi wyratować mego Aleksę... Daremniem go starała się odwieść od tych panów, nie posłuchał mnie, wpadł w póląpkę... Nie mogę odkryć co mu jest, ale w oczach więdnieje... gdybyście mnie i jego poratowali... a powiedzieli mi co na to zrobić? jak go ztamtąd wyrwać?

Junosza potrząsnął głową.

— Już to ja, rzekł, po tych salonach teraz bywać nie lubię, bo na mnie jak na raroga patrzą... a trzebaby pójść własnymi oczyma się przekonać, jak on tam jest. Mówi, że mu dobrze; ale ja to znam jak to bywa! Teraz już pociechy z niego nie będzie, zawsze tęsknić musi za nimi choćby się i rozstał... Czy się czasem nie pokochał...

— Ale w kimżeby? podchwyciła matka — już ciż nie w pannie Annie, boby chyba oszalał podnieść na nią oczy? A gdyby w tej drugiej, toćby nie było czego desperować, bo to ubogie...

— Kto to wie, jaki tam skład rzeczy! rzekł stary Junosza... Waćpani nie pojmujesz, co to się tam czasem dzieje pod osłoną i pokrywką ich obojętności i przyzwyczajenia... ja tam byłem i znam to dobrze!

Stara przeżegnała się ze strachu...

— Ale cóż jemu jest? dodała — zmizerniał, osowiał, zbladł, zamyślony i wzdychający, a kiedy go zaczepić,

żeby do licha porzucił Karlin, jakby go gorącą wodą oparzył tak się rzuca, i wychwala i wynosi... A po jakiegoż licha schnie i przepada w tym raj?u?

— Już to ja podobno do śledztwa nie na wiele się pani przydam, odparł stary Junosza, ale poprobujemy!

— Mój dobrodzieju, w nogi cię pocałuję, zawołała pani Drabicka — uspokój mnie tylko...

Stary Junosza długo się wahał nim wybrał do Karlina; ciężko mu już było w tej siermiedze, w której tak był swobodny, wejść na pokoje, od których uciekał do lasu, zmieniając dobrowolnie żywot ich próżniaczy i sztuczny, na bliższy natury i prościejszy; ale nie mógł odmówić pani Drabickiej. Znał dawniej dobrze prezesa, pana Atanazego i całą rodzinę Karlińskich; nie obawiał się szyderskiego wzroku, jaki go tam mógł spotkać, bo miał w sobie dość siły, by go wytrzymać i odeprzeć; ale wolałby był nie przestępować już progu, za którym dla niego nie było tajemnic, a przykre tylko wspomnienia. Musiał się wszakże poświęcić dla nowych przyjaciół i z Żerbów powlókł się do Karlina. Z posępną twarzą, ale z powagą na czole wszedł na podwórzec zamkowy i zapytawszy o Aleksego, wprost się do niego skierował. Prezes z Juljanem stali na balkonie, gdy przechodził i poznali go oba.

— To ten szaleniec stary Junosza, rzekł prezes — czy do nas w odwiedzin?

— Sądzę, że do Drabickiego, odparł Juljan, ale jeśli u niego będzie, wypadłoby go prosić i do nas.

— W tym stroju?... Prezes ruszył ramionami. — Ale prawda, jakiś to nasz daleki kuzyn, jego matka rodzi się z Karlińskiej, tem bardziej, że nie do nas przyszedł, potrzeba go przyjąć... Śmieszny stary! chodźmy

na spotkanie!

Znaleźli go u Aleksego, który odwiedzinami był zmięszany, i więcej kłopotał się starym niż ucieszył jego przybyciem; widok prezesa i Juliana bynajmniej nie zmięszał hrabiego, rozśmiał się pokazując swoją siermięgę i kurpie, i podał im dłoń szorstką.

— A cóż to się z ciebie zrobiło, kochany hrabio? zakrzyknął prezes — ktoby cię dziś poznał w tym maskaradowym stroju! Słyszałem i nie dowierzałem, patrzę i sądzę, że oczy mnie zwodzą...

— Nie, kochany prezecie, jam to sam, *en chair et os*, ten co wprzód, ten co zawsze, tylko na pokucie za stare grzechy i na nowo odrodzony...

— Nazywasz to odrodzeniem?

— Tak jak wszelką rzecz po nazwisku zowie; nasze dawne życie było nienstanuym fałszem i w końcu zbrzydnąć mi musiało; to bałwochwalstwo pieniędzy, to kłanianie się fałszom politurowanym, ta potrzeba zmyślania nieustannego, te przyjaźnie pozorne, cała wreszcie forma waszego życia stanęła mi kością w gardle, musiałem wymóżyć na sobie i zrzucić starą skórę...

— A w tejże ci lepiej?

— Czuję, że żyję... i nie nudzę się...

— Dziwactwo, kochany hrabio, odparł prezes — zachorowałeś na to, na co my wszyscy po troszę stękamy; zachciało ci się nowego, i wybrałeś sobie ten rodzaj życia, nie jako lepszy, ale jako inny tylko.

— Ba! ba! rzekł stanowczo Junosza, nie możesz powiedzieć inaczej, bobyś siebie potępił; rozumiem i przebaczam!

Wielkie było zdziwienie Anny, gdy tego siermiężnego gościa zobaczyła w salonie, ale kilka słów wy-

rzeczonych przez niego uspokoiły ją, okazując, że pomimo ubioru, był to człowiek najlepszego wychowania i towarzystwa. Rozmowa stała się powszechną. Justyn, biedna Pola, którą ciągle trawiła gorączka, prezes, Julian, udział w niej mieli; stary Junosza nieznacznie postrzegał Aleksego, usiłując odgadnąć jego położenie w tym domu i stosunek do mieszkańców. Uderzyła go nadzwyczajna piękność Anny i jakieś przeczucie wskazało mu, że Aleksy zimno na tę istotę, do której los go zbliżył, patrzeć nie mógł; ale mimo największej baczości dostrzedz nie potrafił w Aleksym śladu zajęcia, w Annie oznaki współczucia. Stary nie pomyślał nawet o Poli, której zaprzątnienie Justynem było tak bijące w oczy, że najmniejszej nie podlegało wątpliwości: znał przytem Aleksego i jego pojęcia o piękności, wiedział, że wesola blondyuka podobać mu się i zająć go nie mogła. Patrzył, domyślał się, szukał, bawił dosyć długo i zdawało mu się, że wpadł na ślady milczącego przywiązania, które niekiedy z oczów Drabickiego wytryskało.

— Byłaby tak szalony, żeby sobie dobrowolnie dojmującą boleść, poddając się tak szalonej namiętności, gotował? byłaby tak śmieszny, żeby o jakiejś nadziei śmiał marzyć? nie znalazłby ludzi i przesądów kasty, by się na mocy życzliwości i przyjaźni, czego więcej mógł spodziewać! Żal mi biednego chłopca, potrzebaby mu oczy otworzyć.

Z tą myślą Junosza przenocował w Karlinie u Aleksego, a gdy zostali sami, począł umyślnie nastrojoną rozmowę.

— Cieszę się, że ci tu tak dobrze kochany Aleksy, jesteś jak w domu, umieją cię cenić, kochają, szanują... ale wystarczał to twojemu sercu?

— Mógłbym pragnąć więcej ?

— Nie wiesz dlaczego to mówię, rzekł Junosza zapalając fajkę, na którą był wygłodniał, bo swojego tytoniu w salonie palić nie mógł, był by go zapowietrzył. Widziałem świata wiele; zawsze prawie, gdy do tak zwanych panów przybliża się nasza szlachta, wychowaniem, umysłem, sercem już na równi z nimi stojąca, popełnia ciężką i płodną w boleści omyłkę... Zdaje się, że grzeczność którą jej okazują, jest pewną rękomią, że sposób obejścia się dowodzi zupełnego porównania, że w ostatku dla niej zapomniano wyjątkowo położenia swego i uczyniono z niego ofiarę. To złudzenie trwać zwykło póty, póki przypuszczony nie odezwie się o zupełne pobratymstwo uczuć, o jakąś ofiarę lub tym podobnie. Bywały zdarzenia, że się kochano w ładnych chłopcach, że się podobały piękne dziewczęta niewielkiego pochodzenia, że miłość zbliżała na chwilę, ale trzeba pamiętać, że u panów jest to fantazją, i nigdy nie prowadzi do tego, do czego by wiodło gdzieindziej... Są to zabaweczki bez konsekwencji; myślą, że wszystko się kupuje i płaci.

— Nie pojmuję na co mi się przydać może twoje ostrzeżenie, kochany hrabio, rzekł Aleksy — znam siebie, Karlińskich, i nie jestem jednym z tych ludzi co się pną wyżej niż powinni...

— Bez ceremonji powiem ci, odwracając się zawołał Junosza — tyś trochę poeta, co dzień patrzysz na Annę, gotoweś pomyśleć, że ci się wolno w niej zakochać!

Aleksy rozśmiał się smutnie.

— Nie jestem dziecko, rzekł powoli — dla mnie panna Anna nie urodzeniem i imieniem, ale sercem i umysłem jest istotą tak wyższą, tak wielką, tak jasną, że nie

śmiałybym podnieść na nią oczu! Byłoby to w istocie niedarowane zuchwalstwo!

Wymówił to z takim zapalem, że stary hrabia, który nań patrzył, wiele wyczerpnął z głosu i oczów jego, i zafrasowany spuścił głowę siwą, brwi nawisłe namarszczył...

— A! tak! rzekł machinalnie — anielska istota w rzeczy samej; ale powiedz-że mi, jak anioła nie kochać?

— Czcic go potrzeba, nie po ziemsku milować — rzekł Aleksy.

— Nadto zapalu! zamruczał stary, uielitościwie wpatrując się w Drabickiego — rzecz podejrzana!!

— Wszystkie one są aniołami — odparł zadumany — dopóki skrzydła nie opadną i powietrzna istota nie stanie się czarnym robaczkiem.

— Tylko nie Anna! nie panna Anna! zawołał Aleksy — wy jej nie znacie, nie mówcie o niej, proszę.

— Nie mam już mówić potrzeby, odparł stary — dajmy temu pokój.

Aleksy zdradził się; hrabia nadto miał wprawne oko, żeby z ognia tego z jakim mówił o niej, coś nie wniósł; pokiwał głową i przerwał rozmowę. Nazajutrz wyszedł raniuchno do Żerbów, ale starej Drabickiej nic nie powiedział i do odgadnionej tajemnicy się nie przyznał.

— Dobrze mu tam, rzekł uspokajając ją — kochają go... nic zresztą nie dopatrzyłem się szczególnego; ta mała Pola zajęta kim innym, a Aleksy po młodemu sobie marzy może, tęskni i to go wychudza i wymęcza; należałoby za nogi ściągnąć na ziemię i ożenić chłopca... poezja nie posilna rzecz... moja dobrodziejko; wyszukajcie mu żony, a co pocziwego, będziemy swatali, i ja

się jeszcze upiję na jego weselu...

— O! już żebym ja mu miała żony szukać, odpowiedziała Drabicka — z tego to nic nie będzie... całe życie-by muie to męczyło... to jego rzecz!... Niechaj robi co chce, ja się w to nie mieszam.

IV.

Pola tymczasem odgrywała ciężką rolę swoją; chwilami upadała na siłach, rwała się chcąc iść i do nóg upaść Julianowi, i prosić go o przebaczenie i utopić się potem; to znowu przychodziły jej na myśl skutki takiego wybuchu, skandal, i wstrzymywała się i zwracała do Justyna...

Przywiązanie jego do niej, coraz widoczniejsze, wkładało na nią obowiązki; czuła, że powinna się była poświęcić do końca i dać to szczęście biednemu poecie, któremu go łudziła. Spełniała więc ofiarę heroicznie i tuląc bijące serce, zakrywając lzy krwawe, uśmiechała się do tego, który u nóg jej zapominał nawet o poezji, co go dotąd karmiła... Julian patrzył oblakany i gniewny... z początku śmiał się z goryczą, rozpaczał, nie pojąć nie mógł; w ostatku upadł na siłach. Widzieliśmy jak w najszcześniejszych nawet chwilach szalu, który ich oboje ogarniał, Karliński cierpiał wiele od tej namiętności za gorącej dla niego, zbyt popędliwej i fantastycznej. Nieustanne przemiany humoru Poli, jej zazdrość, wymówki, niedowierzania, przystępy gwałtownego przywiązania i rozpacz, dręczyły Juliana i w nieustannym trzymały go niepokoju. Kochał, ale wzdychał, by ta miłość inny, spokojniejszy i łagodniejszy charakter przybrać mogła; gdy się ujrzał zdradzonym, jak sądził, bo-

leść pierwszej chwili, żal, obrażona miłość własna, rozjątrzyły go na nowo : chciał jakimkolwiek kosztem odzyskać stracone. Ale serce jego nie miało siły do długiej walki, ani do stałego przywiązania ; w tych pierwszych bojach zużył się Juljan i wyczerpał, nie mógł już pójść dalej ; i gdy ujrzał, że Pola wyraźnie, stanowczo odstąpiła od niego, kochając ją jeszcze, uczuł przecie jakby mu wielki ciężar spadł z serca... Mógł spocząć—łagodny smutek, element, w którym żyć najlżej mu było, zajął w pędzie miejsce rozpacz... rozumował i powiedział sobie, że nie nie był winien, że cierpiał więcej, że wychodził czysty i swobodny... Tak było dniami, to znowu żal się budził gorętszy, wspomnienie Poli i spędzonych z nią wieczorów, które już nigdy powrócić nie mogły, obłąkiwało go ; płakał i narzekał. Cały ten dramat za ciężki na barki Juljana, przygniatał go do ziemi. Prezes patrzył z daleka i mówił sobie, że przechorować musi ; nie obawiał się nic więcej. Pola zwracała nań oczy i śledziła postępy namietności, rozpacz, mierząc nią przywiązanie jego do siebie ; nie łudziła się długo ! wkrótce zobojętnienie stało widocznem.

Jednego z tych wieczorów letnich, które tak żywo przypominały Karlińskiemu rokoszne godziny spędzone w altanie, rozplakany Juljan wbiegł do przyjaciela i ująwszy go za rękę, drżący wyprowadził do ogrodu.

— Kochany Aleksy, rzekł — ja jestem nieszczęśliwy, siebie i położenia swego nie rozumiem, na twoją tylko na świecie przyjaźń rachuję, w głowie mi się zawraca, wytłumacz mi szczerze Polę, mnie samego, nasze położenie i co się z nami dzieje... ja tego nie pojmuję...

Aleksy milczał.

— Na Boga rzekł, na honor, na przyjaźń cię naszą

zaklinam, ratuj mnie, zapomnij kto jestem, nie myśl kto ona... mów co byś zrobił na mojem miejscu?.

— To zależy dziś od tego czy cię Pola kocha czy nie, czy miłość jej dla Justyna jest niezbadaną jakąś komedją, czy smutną prawdą której się poddać potrzeba...

— Jak sądzisz? zapytał Julian.

— Nie śmiem ci się wypowiadać... rzekł Aleksy...

— Przyjaciół jesteś czy nie? mów szczerze! — zawołał Julian.

— Nie tać nie będę przed tobą, odparł Drabicki — całe postępowanie Poli zdaje mi się zagadką... Kto wie, prezes, pułkownikowa wpłynąć na nią mogli, tajemnica wasza źle była strzeżona, wszyscy wiedzieli o niej... Zdaje mi się... że Pola gra komedję, żeby ciebie uwolnić...

— A! i ja na tę myśl wpadałem... ziwniej nieco odpowiedział Karliński, lecz być że by to mogło?? ona?

Aleksy ruszył ramionami.— Być może...

— Coż mi czynić pozostaje! spytał Julian.

— Nie pytaj! na Boga, nie pytaj mnie, bo byś siebie krzywdził, rzekł Aleksy — był czas gdyś nieć był powinien, dziś droga dla ciebie jedna: wszystkiem wzgardzić i odepchnąć, pójść z nią przed ołtarz i zaślubić...

Julian stanął wryty... znać już było, że się wahał; chciał kochać, ale obawiał się żenić.

— Ja ją kocham, odpowiedział... lecz moglibyśmy żyć z sobą szczęśliwi?

— Tu nie o to idzie, ale o obowiązki jakie masz dla niej; mogłeś ją odepchnąć wprzód — dziś nie masz prawa; była twoją i życie twoje do niej należy!

Karliński zmieszał się...

— Wiesz, rzekł przechodząc bojaźliwie do innego

przedmiotu... wiesz jaki mi prezes, nie bez myśli zapewne, zrobił rachunek mojej przyszłości w razie gdybym się ubogo ożenił?

Aleksy zżymnął się.

— Nie wiem, rzekł zimno.

Juljan powtórzył słowa prezesa, które dobrze zapamiętał.

— Braknie ci więc odwagi do poślubienia ubóstwa! rzekł Aleksy, mów szczerze, Julianie! Tak jest! żal mi cię serdecznie, przepadłeś... Patrz, na czym dziś opiera się szczęście twoje: na mieniu, na groszu, na najniestalszem z dóbr ziemskich... Zbudowałeś zamek na lodzie i chcesz w nim mieszkać całe życie... Jest że środek zapewnienia sobie fortuny i dostatku, choć byś na to rozum wysilił i wszystko dał na ofiarę? Wojna, pożar, niewiara ludzi, tysiące przypadków czyha na tę kruchą podstawę twojego szczęścia! I dla wygod ciała, dla próżności, dla drobnostek poświęciłbyś zasady, przywiązanie, miłość, poczciwość?...

— To za ostro! rzekł nieco obrażony Julian.

— Chciałeś bym był szczerym, inaczej mówić jak myślę, nie mogę i nie umiem... mów, słucham i pragnę, byś mi się wytłumaczył.

Juljan ostygł znacznie i trochę sobie przypomniał, że mimo serdecznej przyjaźni Aleksy i on nie byli równymi sobie: głos jego zdradzał obrażonego pana...

— To są deklamacje, rzekł powoli... kocham Polę, ale nie widzę ani dla niej ani dla siebie szczęścia, gdybyśmy się połączyli ubodzy, odepchnieni od rodziny, i z taką miłością burzliwą jak nasza...!

— Dla czegożes wspomniał o majątku? spytał Aleksy.

— Bo i to jest jeden z warunków spokoju i szczę-

ścia.

— Nie, kochany Julianie! odparł Drabicki — nędza tylko zabija, a nędza cię dotknąć nie może, boć przecie i pracować byś potrafił...

— Ja! co ci się dzieje! wiesz jak mnie wychowano! Dla mnie niedostatek jest już nędzą!...

Aleksy smutnie się zamyślił patrząc na księżyc...

— A! daleko, rzekł smutnie, daleko nasze przechadzki nocne z uniwersyteckich czasów, kochany Julianie! daleko od nas myśli któreśmy naówczas dzielili... daleko nawet to cośmy, pamiętasz, przypominali z takim zapalem, w owej gospodzie na gościńcu! Jam, zdaje mi się, nic się jeszcze nie zmienił, ciebie zwarzyło dotknięcie chłodne waszej społeczności i wyziewy którymi ona truje...

— Mój drogi Aleksy... nie sądz tak o mnie...

— A! nie potępiam cię, boś biedny, słaby mój Julianie... lecz pomnij, że szczęście nie jest tam gdzieś je założył; spokoju nawet nie znajdziesz w bogactwie... gdy je kładziesz na pierwszym miejscu w warunkach życia... Rzecz to stosunkowa i podrzędna, na ostatku dopiero godzi się ją kłaść w rachunek...

— Mylisz się, bo i ja nie kładę na pierwszym miejscu, co na niem być nie powinno; nie zrozumiałeś mnie...

— Daj Boże...

— Nie bałbym się ubóstwa sam, ale się go lękam z Polą...

— Z nią! z nią! co cię ubóstwia i życie za ciebie dać gotowa!

— Więc to komedja? udanie?... podchwycił Julian.

— Niewiem, ale znowu takiej zmiany nagłej wytłu-

maczyłbym sobie nie potrafił...

Juljan począł przechadzać się milczący.

— To wszystko, rzekł, przechodzi siły moje; nie jestem stworzony do walki i boju... Znam Polę, nie byłobyśmy z nią szczęśliwi...

— Ale na Boga, pamiętaj coś jej winien!

— Jam winien? zawołał Juljan... powiedz raczej ona... byłem obłąkany... Nikt inny na mojem miejscu nie byłby się potrafił oprzeć!! pociągnęła mnie.

Aleksy zalał rękę...

— Cicho! na Boga! krzyknął, plamisz usta! słowa te nigdy z piersi twej wyjść nie były powinny! To dziecię, to nieświadoma niebezpieczeństwa istota, tyś winien jako mężczyzna, stokroć winien, że śmiesz ją obwiniać!!

Juljan uczuł się obrażony.

— Widzę, rzekł, widzę w istocie, że im dalej w życie, tem mniej się starzy przyjaciele roznmieją; ciebie nic nie nauczyły wiek i doświadczenie; zawsze po studencku to bierzesz, gorąco i deklamatorsko... ja więcej dojrzałem...

— Nie chwal-że się tem, odparł Aleksy, sam mnie wyzwałeś, pogardzić byś mną miał prawo, gdybym ci inną dał radę i nie całe serce otworzył... rób co ci się podoba... do mnie to już nie należy... Jeślim cię obraził, przepraszam.

— W istocie, tak dla mnie jesteś surowym!

— Jakbym był dla siebie! zawołał Drabicki — w moralności nie ma ustępstw i dróg pośrednich, jest jeden prosty i wielki gościniec... ci co się targują z sumieniem, wprędce mogą o niem zupełnie zapomnieć...

— Ale kiedy sama Pola nie chce mnie i odpycha?...

— To rzecz inna, jeśli w to wierzysz... nie mam nic do powiedzenia.

— Sam widzisz... kochany Aleksy...

— Nic nie wiem, nie widzę i widzieć ni wiedzieć nie chcę... Chodź kochany Julku i przejdźmy się w milczeniu po ogrodzie; to nam może lepsze, święte młodości czasy przypomni. A! młodość i życie! co za antiteza okropna!

V.

Są chwile, w których najobojętniejszy gość pożądanym bywa; jest to żywioł rozprzegający, wszyscy dlań wkładają maski. Obawa grożącej spowiedzi lub scen domowych znika, ludzie przybierają postawy urzędowe, uśmiechy niedzielne, myśli i słowo od *gości*, i *bawią się*. A! co to za wyśmienita zabawa! nie jeden z niej wraca ledwie mogąc dychać, i pada bezwładny... a jednak bawił się, i nazajutrz powróci z nalogu do tej zabawy. Salon na wsi i salon w mieście różne od siebie pozorowanie, równie są czcze obydwu; najglówniejszym przedmiotem zajęcia w nim są ludzie, nie ze stanowiska miłości chrześcijańskiej uważani, nie sądzeni jako bracia, ale zabawiający wszystkim co robią, począwszy od zbrodni a skończywszy na najniewinniejszej śmieszności. Nie jest winą ludzi, że się ludźmi zajmują, ale że wszystko lekko, powierzchownie, za srogo niekiedy, lub za pobłażająco a zawsze niewłaściwie sądzą. Takim mustrzaniem życia, które powinno być poważne i surowo uważane, ścieramy w sobie uczucie moralne i przywykamy do lekkości w postępowaniu, zaczynając od płochości sądu. Pocieszne ubranie i niepocziwy uczynek na

jednej tu wazą się szali i jedno nad drugie większego nie wywołuje oburzenia; głębsze uczucie, myśl silniejsza coby się z ust wyrwały, skarcone by były przez gospodynię, ukarane wzruszeniem ramion przez gości i śmiałek coby się ich dopuścił, zamknąłby sobie drzwi wszystkich domów. Rozmowa toczy się zwykle o drobnostkach i dzieciństwach i całe dnie upływają na niej, a kto najlepiej umie mówić o niczem, nie nie mówiąc coś powiedzieć nszczypliwego, kto najbogatszy ma zapas drobnostek i ubiorków na myśli najpospolitsze, ten jest najpożądańszy w salonie. Zwyczaj tak chce, a ten jest wszechmogący; któżby się śmiał stawić przeciwko niemu?

Zdaje mi się, że zupełnie obcy światu naszemu człowiek, któryby nagle wszedł w towarzystwo nasze i podслуchał je rozmawiające, dziwne by sobie zrobił z tego wyobrażenie o społeczności. Niemogąc wystarczyć ustami, do zabaw salonowych dodano taniec dla młodych, karty dla starych. Ostatnie są naszej nędzy moralnej i nieporozumień, w jakich z sobą zostajemy, najwymowniejszym dowodem. Jedne karty połączyć mogą heterogeniczne pierwiastki z jakich często spaja się towarzystwo; do nich nie już nie potrzeba, tylko ograniczonej bardzo intelligencji, i jakiego takiego uczucia przyzwyczajoności...

Za lat sto lub dwieście nie zechcą może wierzyć wnuki nasze, żeśmy po dziesięć godzin z rzędu nad malowanymi gałgankami siadywali...

Smutne to lekarstwo na niedołęstwo nasze, pokrywka naszego ubóstwa i choroby!

Zdaje mi się, że wszyscy byli radzi w Karlinie przybyciu gościa, który się nazajutrz zjawił niespodziewanie;

był to imiennik i krewny hrabiego Zamszańskiego, pan Albert Zamszański, z Poznańskiego, świeżo z podróży po Europie powracający, który familję w Cesarstwie odwiedził, i z nią głównejsze domy sąsiedztwa objeżdżał.

Poznaliśmy już hrabiego, sławnego znawcę cygarów i admiratora Loli Montes; synowczyk jego choć nieco w innym rodzaju, niewiele nadeń był wyższym. Co się tycze powierzchowności, nie mu zarzucić nie było można; ubierał się prześlicznie i z największem staraniem i smakiem; Humann robił mu suknie, wszystko na nim było od pierwszych majstrów, z najwytworniejszych pracowników... Średniego wzrostu, szycowny bardzo, bo się i tańca i gimnastyki uczył w Berlinie, ciemno-blond włosów, jasnych wyrazistych oczów, z wąsikami i bródką, jak głowa utrzymywanemi wedle wszystkich mody i higieny prawideł, wymuskany, śliczniętki, na pierwszy rzut oka podobać się musiał. Minę miał pańską trochę, ruch śmiały, mowę łatwą, obejście dobrego towarzystwa; słowem zdaleka wyglądał na młodego człowieka wielkich nadziei.

Zbliża także w pierwszej chwili upokarzał wszystkich niesłychaną znajomością świata, ludzi, erudycją, dowcipem, hałasem swych różnostronnych wiadomości, śmiałością pomysłów i wyższością umysłową... Pierwsze wrażenie jakie czynił, całe było na korzyść jego; ale dość było parę dni, by dla zimniejszych oczów przysła uluda jaka go otaczała. Pan Albert Zamszański niezawodnie pełen talentów i bystrości pojęcia, cały był na zewnątrz i najlepsza jego część polyskiwała na pokaz światu, ale za tym szyldem — w sklepie pustki. Nie mówię, że musnąwszy katechizmu w domu, filozofji

w uniwersytecie, obojętności religijnej na świecie, nie miał żadnej stałej zasady postępowania, ani punktu z któregoby na świat się zapatrywał niezmiennie; na to dziś wszyscy niemal chorują, ale nie nie umiał grunto-wnie, nic nie lubił, niczem się nie zajmował, serce w sobie wygasił i stał się prawdziwym dzieckiem XIX wieku, które naprzód myśli o dobrym bycie, potem do-piero o dobrej sławie, a naostatku lub nigdy o dobrem sumieniu i spokojności wewnętrznej. Charakter jego nie mógł się nazwać tym wyrazem służącym do odcecho-wania czegoś oznaczonego, stałego i pewnego: zewnątrz podobny był do wszystkich, wewnątrz jeszcze się nie zagospodarował.

Byle błysnąć gotów był utrzymywać co mu ślina do ust przyniosła, paradoksalny dla popisu z kolei wychwa-lał stare czasy, których nie rozumiał i rwał się do po-stępu, który na bałamuctwach zasadzał; w gruncie sce-ptyk obojętny na wszystko pozwalał co mu dogadzało. Jedyną w nim wyrozumowaną moralności zasadą było, żeby nie popełniać przez dobrze zrozumiany interes wła-sny tego, co na odpowiedzialność w obec prawa lub opinji naraża... Nie był rozwiązy, bo się wcześniej po-rachował, że zbytek jest zewszeh miar szkodliwy; nie był namiętny, ale gotów był i poezję i namietność i re-ligję wybornie i z przejęciem aktora odegrać. Zimny jak lód, wesoły jak ptaszek, grzeczny, układny, błyszczący i umiejący się popisać z sobą na wszelki spo-sób, nawet na sposób skromny, kogo chciał przyciągał, oczarowywał wszystkich i stugębna sława poprzedzała go mieniąc czemś nadzwyczajnem, fenomenalnem! wcie-loną doskonałością. Tajemnicą całą było wiele chłodu, panowanie nad sobą i trochę zřeczności.

Dodajmy, że pan Albert był jednym z sześciorga rodzeństwa, na pięknej wsi osiadłego, sam z siebie ubożutki, ale tak zręcznie grać umiał pozory dostatku i tak się wyrывał ze swemi stosunkami ze Sułkowskimi, Działyńskimi itp., że nikt nie śmiał by go posądzić nawet o mierny majątek. Że za granicą podróże są tanie, a my o tem niewiele wiemy, z opisu peregrynacji wnosić było też można, że Albert wiódł życie człowieka który o przyszłości nie myśli... Tymczasem, istotnym powodem przybycia jego do Cesarstwa była potrzeba dowiedzenia się o stanie majątkowym hrabiego stryja... i czy by się czego po nim spodziewać można; a kto wie czy i projektu ożenienia bogatego nie było za pasem.

Gość zrobił w Karlinie zwycięskie, wielkie, przepotężne wrażenie: mówił po francuzku jak francuz, po niemiecku jak szwab, po angielsku jak prawdziwy John-Bull, świeżo wracał z kursów w Epsom i Chantily, słyszał pannę Rachel, panią Viardot, Jenny Lind, Cruvelli, znał osobiście Dumasa i Lamartina, był *du dernier mieux* z Poniatowskimi we Florencji, z Walewskim w Londynie, z arystokracją całej Europy z dziennikarzami itd.; po imieniu nazywał wszystkich, tańczył na wieczorach u ks. Matyldy, Bonapartowie kochali go i nie mogli się z nim rozstać; na dworze saskim był najlepiej, u króla pruskiego kilkakroć się prezentował, i na pewno spodziewał szambelaństwa itd. itd.

Juljan i prezes uczuli, jak wielką znakomitość mieli w swoim domu, a że Albert od razu postawił się z nimi na stopie przyjaźni i poufałości, zaszczytzeni zbliżeniem do tak dostojnego przybylca, który wiedział jakiego koloru są łoża w operze paryskiej, i którądy się

wchodzi do *Jardin d'Hiver*, i jak się zowią konie, które ostatnie premia wygrały, nie posiadali się z radości. Prezes nawet powoli przypuszczać zaczął, że hrabiowski tytuł Zamszańskich mógł być na czemś oparty, a zresztą — w Prusach go uznano i wniesiono w urzędowe księgi — co nie mało kosztowało. — Słowem, Albert podbił sobie wszystkich. Nieby to jeszcze nie było dziwnego, gdyż nigdzie łatwiej jak u nas lwem zostać, choćby grzywa widocznie była przyprawiona z konopi — ale Anna, święta Anna, dała się także ująć nrokowi pięknego chłopca, który na nią patrzył wzrokiem pełnym najżywszego, melancholijnego uczucia.

Aleksy, który ją zawsze widział tak chłodną, poważną, panią siebie i wyższą nad tych, co ją otaczali, ostygł, gdy drugiego dnia widocznie ją pod urokiem pana Alberta zobaczył, żywo nim zajęta, wystrojona dla niego, i tak patrzącą nań, jak jeszcze nigdy na nikogo nie poglądała. Wiele bo było sztuki w tym niebezpiecznym młodzieńcu, kłamał jak powieścio-pisarz, a wiedział co dać komu... pierwsze chwile zwykle poświęcał zbadaniu ludzi, *il sondait le terrain*; dopiero pochwytawszy gusta, sposoby widzenia, charaktery, które nieśtety tak schwycić łatwo! śpiewał piosnkę, kto jakiej zapragnął. Umysł giętki, pamięć ogromna, wielkie obycie się z ludźmi, czyniły go niebezpiecznym w istocie, a że przekonania własnego nie miał i brał stronę tych, którzy mu najpotrzebniejsi być mogli, rzadko się komu naraził. W towarzystwie nie było miłszego człowieka. Julian i prezes pochwycili go jak zesłańca z niebios: pierwszy wyczytał w nim zaraz wszystkie cnoty i przymioty, jakich pragnął w przyjacielu; drugi cieszył się wonią zagranicy, Paryża, wiejącą od pana Alberta. Ale

cóż pociągało Annę?

Tajemnice! tajemnice! co krok rozbijamy się o niepojęte sympatje i wstręty; najznakomitsze umysły zniżają się do najpospolitszych, najświętsze serca czują się pociągniętymi do najzepsutszych — jakieś prawo związku, niezbadane dotąd, kieruje nami, a rozum opiera się napróżno i na nic nie służy, chyba za smutnego świadka upadku.

Panu Albertowi też tak się wzajem podobało w Karlinie, tak się unosił nad arystokratycznym, feudalne dobre czasy przypominającym zamczyskiem, nad ogrodem, nad rodziną, nad wszystkim razem i każdym z osobna, że chętnie tu na dni kilka pozostał. Wszystkim to pochwiliło niezmiernie; jeden Aleksy przypatrując się temu fenomenowi pozostał chłodnym.

Dobry ton i dystynkcyj, które czarowały wszystkich, nad nim władzy nie miały żadnej; w każdym człowieku szukał i dobadywał się gruntu, a tu po błyszczącej powierzchni ślizgając się, głębiej zajrzeć nie mógł. Ilekroć usiłował spróbować zawiązać rozmowę serjo, dojść zasady i sposobu widzenia Alberta, Zamszański wyrывał mu się żarcikiem, komunałem lub obrotem rozmowy zręcznym, ale widocznie sprowadzającym z drogi...

Dwa czy trzy razy, mimo najwyższej zręczności, wystrzelił kilka baków; Aleksy przeczuł w nim istotę powierzchowną i serce zimne, ale odezwać się z tym sądem nie było podobna, okrzyeczano by go jako zazdrosnego parafianina. Zresztą wstręt, jaki poczuł do niego, zdawał się być wzajemnym, gdyż pan Albert choć grzecznie, ale bardzo był z nim zdaleka, i obchodził się jak z kimś podrzędnym.

Gdy w parę dni z obietnicą powrotu odjechał Zam-

szański, długo jeszcze ściany brzmiały pochwałami jego. Pola tylko, Aleksy i Justyn milczeli; Anna zdawała się niespokojna milczeniem przyjaciela i sama go zagadnęła o pana Alberta.

— No! szczerze mi pan powiedz, jak się panu podobał? co do mnie nie taję, że jeszcze nikogo mu równego nie widziała!

— Nie śmiałbym się pani sprzeciwić — rzekł Aleksy.

— Mnie się zdaje, że zazdrość nawet nie przeciw niemu znaleźć nie może; jaki układ! jaka słodycz charakteru! jakie wykształcenie umysłowe, ile nauki, a przytem skromności! co za umiejętność życia! jakie połączenie najrzadszych przymiotów!

Aleksy westchnął tylko...

— Szczęśliwy! szepnął po cichu.

— Dla Juliana szczególnie — odezwała się Anna zniżając głos także, — pragnęłabym go do nas przybliżyć, zdaje mi się, że zbawienny wpływ wywarłby na niego!

— Nie wiem, być może — rzekł Aleksy...

— Widzę, żeś pan przeciw niemu uprzedzony...

— Ja, nie — odparł Drabicki, ale nie podzielam zachwytu, jaki państwa ogarnął; zręczny jest, miły, grzeczny, nic więcej...

— Tyle nauki i tyle przytem sądu o rzeczy... niezawisłego, postrzeżenia tak nowe i uderzające!!

Aleksy zmilczał znowu, gdy Julian, jakby dla wyratowania go z przykrego położenia, zbliżył się i domyśliwszy przedmiotu rozmowy, zawołał:

— Pewnie spieracie się państwo o Alberta! Aleksy krzywi się na niego...

— Nie, nie, nie! — rzekł Drabicki, ale się na nim może nie poznał...

— Najrzadszy z ludzi; silnej woli i charakteru, a zarazem pełen pobjaźnienia i łagodności, umysł poetyczny i praktyczny... wszystko w nim jest.

— Wyznaje — dodał prezes podchodząc, że mam go za tryumf nowego systemu wychowania; fizycznie i moralnie pełny, nie zużyty, serce poczciwe, głowa dobra! wielką ma przyszłość przed sobą.

Na tak jednozgodne pochwały Ałeksemu nic nie pozostawało tylko spuścić głowę i zamilknąć; uśmiechnął się i nie rzekł słowa. Annie widoczną to zrobiło przykrość, lecz nie umiejac sobie wytłumaczyć Ałeksiego, nazwała to tylko niesłusznem uprzedzeniem.

Gdy dobre staje od Karłina odjechali, stary pan Piotr Zamszański, kochanek Loli, i młody Ałbert spojrzeli po sobie.

— Podbiłeś ich wszystkich — rzekł znawca cygarów — winszuję ci...

— Dom miły, choć na nim znać rdzę wioski — odparł Albert — panna Anna prześliczna...

— I jak anioł dobra i święta! — dodał starszy...

— Jaka ich sytuacja finansowa? — zapytał młody człowiek...

— Nikt lepiej nademnie ci tego nie objaśni — rzekł zapalając nowe cygaro pan Piotr...

— Bardzom ciekawy — przyznaję...

— Aha! świecą ci oczki panny Anny!

— Wielem widział pięknych, ale tak pięknej!

— Posłuchaj-że coś chciał wiedzieć... Karlińscy co do imienia i stosunków stoją bardzo wysoko; majątek zrujnowany nieco, ale wielki; zawsze z ojczystego wezmą po kilkakroć; w dodatku jest prezes bezdzietny i bezdzietny pan Atanazy; panna w sperandzie ma z górą

pół miliona...

— Sliczna partja...

— Dla ciebie byłaby w istocie bardzo dobra... czemubyś się nie starał? — podrzucił pan Piotr, którego dumie pochlebiło spokrewnienie się z Karlińskimi.

— Starałbym się, żebym wiedział, że się wystaram...

— Jestem tego pewny po przyjęciu pierwszym; Anna zimna, aleś się i jej podobał... Trochęby sobie trzeba zadać pracy z prezesem, który prozą patrzy na rzeczy i nie łatwo się da otumanić... trochę starać podobać panu Atanazemu, arystokracie w Chrystusie...

— O! znajdziemy na niego sposób!

— Reszta istoty bierne...

Pan Albert zamyślił się...

— Za parę dni pojedziemy do nich znowu — rzekł po chwili...

— Wszakleśmy przyrzekli... ale dziś wstąpił jeszcze do Gerajewiczów; tu czystych parę milionów... i panna nieszpeta; choć rodzice śmieszni, ale mają czem za to zapłacić.

Albert się rozśmiał wesoło.

— Trzeba i tych *iczków* zobaczyć! jedźmy do Sytkowa.

VI.

W przeciągu kilku następujących tygodni, Justyn rozmarzony wędrował pieszo do Szury po dwakroć i powracał do Karlina; przyznał się od razu staremu opiekunowi swemu, że szalenie kocha się w Poli, a starzec nie zdawał się temu ani dziwić, ani być przeciwnym.

— Prędzej, później, rzekł — spodziewałem się tego;

rad jestem, że nie w prostej wiejskiej pokochałeś się dziewczynie, bom się tego obawiał... Słuchaj-że Justynie... wybadaj dobrze serce swoje: jesteś poeta, czujesz żywo, możesz się mylić... jej i sobie nieszczęście zgotujesz... Nie powiem, żeby ci jako poecie żenić się było potrzeba, owszem, zda mi się, że wyrzecbyś się tego powinien.

— Dla czego? podchwycił Justyn...

— Dla tego, że jeszcze się musisz kilka razy kochać, biedny szaleńcze, kilka razy przeboleć na chorobę ideału! Wolałbym, żebyś cierpiał sam i wolny... mniejby ci dolegało.

— Ja! kochać inną! drugi raz w życiu!

Rozśmiał się powolnie starzec z litością.

— Nie kobiety kochacie, rzekł — ale w nich blask doskonałości, który przez nie wam świeci... Dziś cię zachwycą iskierka, jutro może spotkasz gwiazdkę jaśniejszą i przed nią będziesz musiał pokłęknać... Miłość jest przecuciem niebios i zjednoczenia duchowego z przedwieczną doskonałością, jest to uczucie ułonne, będące przepowiednią potrzeby, jaka nas ciągnie ku Bogu. Wszyscyśmy na obraz i podobieństwo Boże stworzeni, ale nie wszystkim dana równa miara Bożego podobieństwa; kochając się w sobie, miłujemy obraz Boży...

— Cudnieś to powiedział ojcie — odezwał się Podubinieć — ale ja ją kocham nad wszystkie objawy piękności i błagam cię, żebyś mi błogosławieństwa nie odmawiał; bez niego nie śmiem się zbliżyć do niej z ofiarą podziału mojego losu!

Starzec głowę jego w milczeniu przycisnął do piersi.

— Błogosławię ci, rzekł — błogosławię, ale zaklinam, nie szukaj szczęścia gdzie go nie ma, nie spodziej się go i nie požądaj!... Błogosławię ci na cierpie-

nie, bo inaczej nie umiem — daj ci Boże kroplę słodyczy na brzegu kielicha, a resztę niech ci osłodzi poezja, zachwyty... szal święty tych, co kochają dzieło Stwórcy i wpatrywać się w nie umieją sercem i okiem!

Ale, nieopatrzne dziecię — przerwał stary — nim na wieki zwiążesz los swój z kobietą, pomyślałżeś o tem gdzie ją zaprowadzisz? czem nakarmisz? i jaką dla niej przyszłość zgotujesz?

Podlubiniec zdawał się naiwnie zdziwiony tem zapytaniem.

— Nigdy o to nie troskał, rzekł, bo nam nie wiele potrzeba: dasz nam ojcze kawałek gruntu i chatę, będziemy siali, zbierali i Bóg pobłogosławi pracy... Ja sam wybiorę sobie sadybę u brzegu rzeki, w starych dębach... sam dopilnuję budowania... ty mi pomożesz... trochę...

— Dalej-że, dalej, mów, jak sobie układasz życie? z ciekawością rozczuloną rzekł pan Atanazy.

— Ja nie wiem, odpowiedział Justyn — czyby nam co więcej potrzeba? kilkoro bydełka, owiec kilkoro i pastuszka... trochę prostego sprzętu... a szerokiego widoku na świat, a ciszy leśnej i leśnej woni, a wody mruczącej i zieleni coby rozweselała oczy!

— I żyłbyś tak po wieśniaczemu? a ona?

— Wiem, że nie postrzegłaby nawet tego co ją otacza... jeśli tak kocha jak ja...

— Przerażasz mnie dziecko moje! przerwał pan Atanazy — ty nic jeszcze życia nie rozumiesz...

— Życie wielkie pojmuję... drobnostek jego... możemy nie zrozumieć jeszcze, ale ich nigdy nie pojmę!

— Łaska Boża, że jeszcze nad sobą masz opiekę swoją... zginąłbyś! zginął! Tak! potrzeba ci Ewy do

twego raju, któraby za was dwoje myślała o powszednim chlebie. Ale nie obawiaj się, od dawna przeznaczyłem ci Hory; jest tam dworek, jest sad i rzeka i nie zabraknie wam chleba!

Justyn nie zrozumiał.

— Ta wieś twoja, dodał pan Atanazy.

— Na cóż mi wieś? spytał Justyn — i jak mi ją dać możesz?

— Nie pytaj, nie dziękuj, nie sprzeciwiaj się; w Horach przygotowałem ci mieszkanie, tam lepiej będzie niż w chacie wśród lasu, gdziebyś umarł z głodu, szaleńcze... Bodajby Bóg dla ciebie zrobił resztę, ja spełniłem co mogłem! A teraz czyń jak ci powie serce, a błogosławieństwo Przedwiecznego niech będzie z tobą...

Odwrócił się szybko pan Atanazy, wziął słomiany kapelusz, kij i książkę, i poszedł w ogród unikając podziękowań zdumionego wychowawcy. Justyn poleciał do Karlina; niedobrze pojmował swój dostatek, ale się nim cieszył dla Poli; świat mu się wydawał tak piękny, życie tak słodkie, przyszłość tak jasna, a młodość tak skrzydlata! Myśl jednym hymnem dziękczynnym lała się z jego piersi; stał gniazdo szczęściu swojemu, kołysał marzenie, płakał i uśmiechał się na przemiany... Dla czegoż zamiast radości na twarzy Poli ujrzał tylko przestrah jakiś i bladość, gdy go zobaczyła? czy wzruszenie tak ją przejęło, czy przecuciem anioł stróż wionął na nią? Justyn pobiegł ścisnąć jej rece i chwilę niemy przy niej pozostał.

— Wiesz pani, rzekł po chwili — z czem ja tu przyszedłem?

— Nie domyślam się doprawdy, odpowiedziało biedne dziewczę...

— Z prośbą... nam tu źle, ciasno i smutno, zbyt wiele oczów na nas pogląda, nadto mamy świadków szczęścia... weźmy się za ręce i chodźmy...

— Dokąd?

— A! mamy pójść gdzie, nie obawiaj się, odparł Justyn zwycięsko — naprzód do Szury, żeby nam stary święty nasz ojciec pobłogosławił; potem do Hor; Hory są moje... mamy dom, cień, rzekę, ciszę... wszystko...

Pola uśmiechnęła się smutnie.

— Chciałabyś, rzekła — podzielić życie zatrute i łzami oblane jak moje? — Wstała z jakąś gorączkową odwagą, podała mu rękę i wyprowadziła go do ogrodu, umyślnie czy przypadkiem wiodąc na to miejsce, gdzie tak była szczęśliwa z Julianem, aby tu wypić kielich goryczy do dna.

Justyn patrzył na nią niespokojnie: na twarzy jej malowała się walka, jaką wewnątrz staczała.

— Mówmy, rzekła — mówmy szczerze o przyszłości...

— Nie, ja mówić nie umiem gdy czuję głęboko, odparł poeta podając jej rękę — oto dłoń moja i przysięga, że cię nie porzucę do śmierci...

— Posłuchaj wprzód, drżącym głosem przerwała mu Pola. — Ta, której dałeś serce i rękę, nie warta ciebie; znasz ty jej przeszłość? znasz głębię serca?

— Przeszłość do mnie nie należy... a serce... mojem... nie prawdaż?

— A! trzeba nareszcie prawdę ci odsłonić, biedne dziecię! — zawołała sierota oczy łez mając pełne — choć mnie to kosztuje wiele, nic taić przed tobą nie będę... nie chcę, byś był niewinną ofiarą cudzych błędów... Ja kochałam i kocham innego... ja do innego należę; ja ci nic dać nie mogę, prócz zimnej dłoni i piersi

wystygłej, myśli przykutej do tych miejsc, zgryzot i łez...

Justyn zbladł i zadrżał.

— Nie rozumiem cię, zawołał — więc oszukiwałaś mnie?

— Oszukiwałam cię, byłeś ofiarą... jak ja... potrzeba było odepchnąć tego, któregom kochała, zmusić go, by mną pogardził i odszedł tą wzgardą uspokojony... Zmyśliłam miłość ku tobie...

Groźnie spojrzał na nią młody człowiek.

— Kobieto! zawołał — masz-że ty serce?... Ale gniew rozbił się o wejrzenie pokorne i błagające Poli, łza stała mu w oku.

— Cóżem ci zawinił? zapytał — a! ciężko mnie ukarałaś za to, żeś śmiało oczy podnieść na ciebie...

— Pogardź mną z kolei i odepchnij, zawołała Pola — nie warta jestem czystego serca twojego, świętej miłości, którą obudziłam w tobie... nie przyjmę ofiary, a ty mi przebacysz...

— Przebaczyć! zawołał Justyn — mógłbym cię winić, gdy boleję nad tobą? ja cię kocham i wszystko podzielię... pójdziemy razem i płakać będziemy wspólnie... Nie chcę znać i wiedzieć przeszłości... nie proszę cię byś mię kochała; pozwolisz mi tylko kochać ciebie i patrzeć na ten smutek, który może Bóg, cisza i moje starania uleczać...

I znowu podał jej rękę, którą Pola uściśnęła w milczeniu.

— Nie gardzisz mną? spytała po cichu.

— Lituję się i boleję, rzekł poeta — chodź i nie mówmy o tem... jutro oświadczę się pannie Annie i Julianowi, poprowadzę do ołtarza i ucieknem do Hor...

— Tak! ucieknem... — z drżeniem powtórzyła jak obłą-

kana Pola — tu zatrute powietrze, tu żyć nie można... tu wszystko kłamie... tu nie nasz świat i ludzie... Ale kto mi da ołwagę zostać twoją, gdy mi serce mówi, że cię nie warta?

— Niech serce ci powie, żeś do mojego szczęścia potrzebna... A! nie myśl, żeby i w mojej piersi nie było sadzy, którą wypalają lata... która zostaje po każdym życiu... anioły tylko czyste są przed Bogiem, bo stoją pod okiem Bożem i w Jego patrzą oblicze...

W milczeniu skierowali się ku domowi... a Pola padła na krzesło z bijącym sercem, ujrawszy oczy Juljana skierowane na siebie... Wzrok jego zmienił się teraz, zimny był, badający, bojaźliwy więcej niż płomienny; obawiał się zbliżyć do niej, nie szukał jej, unikał raczej. Pola dopięła celu, ale krwią zachodziło jej serce; tak go to nie wiele kosztowało, tak łatwo przyszło zapomnieć, wyrzec się, pogardzić, miłość jego tak była przelotną i słabą, gdy ona czuła jeszcze, że życia-by jej na nią nie wystarczyło!

Anna z radością przyjęła oświadczenie Justyna, i pobieгла z niem do Poli, jak z najszcześliwszą nowiną.

— Idziesz za męża, zawołała — kryłaś się przedemną, niegodziwa! Justyn cię kocha, ty kochasz Justyna... Stryj Atanazy błogosławi... pozwól i przybranej siostrze podzielić się szczęściem swoim.

Spojrzała na twarz biednej Poli i zdziwiona cofnęła; blada była jak trup i drżąca... a oczy łez miała pełne.

— Co tobie! zapytała.

— Nic mi... taki skutek robi szczęście! odpowiedziała sierota z goryczą i rzuciła się Annie na szyję.

VII.

Pomimo zobojętnienia, Julian zadrżał gdy mu siostra oznajmiła o oświadczeniu Justyna; śmiertelna bladeść powlokła twarz jego, usta się ścięły, a wyraz bóleści tak silnie wypiętnował się na nim, że Anna raz pierwszy postrzegła, domyśliła się, przeczuła więcej niż wiedziała!

— Co ci to Julku? zapytała zdziwiona — możnaby myśleć, żeś nie rad szczęściu Poli?

— Ja! owszem... zawsze mnie tylko przeraża, gdy się komu na to, co szczęściem zowiecie, zbiera...

— Ale tu są wszystkie warunki, przerwała Anna wesoło — równość położeń, jedność myśli, skłonność serc... Stryj Atanazy zapewnia im przyszłość... czegoż więcej żądać mogą?

— Masz słuszność, Anno... będą szczęśliwi i tego z serca im życzę, odparł Julian szybko odchodząc — pomów o tem z prezesem.

Zdziwiona trochę odeszła Anna, a Julian pobiegł skryć się przed oczyma badającymi ludzi i zamknął sam z sobą. Nigdy żywiej nie czuje się wartości skarbu jak w chwili straty; teraz odezwała się zagłuszona miłość, uczucie obowiązku, boleść i niewysłowna tęsknica. Odezwała się też i próżność może odtraconego człowieka, i z niezbadanych głębin serca-wulkanu, wszystko co w niem płonie i goreje... Julian chodził jak obłąkany, łamiąc ręce i wyrzucając sobie, że tak mało miał siły, że tak niepewnemu jutru posiadane już szczęście poświęcił! Namyślał się, wahał, rzucał, to chciał lecieć do Poli, porwać ją i uciekać, to zabić niewdzięczną, to

sztydzić przynajmniej i urągać, żeby wylać gorycz serca. Tymczasem miotał się bezsilny i nic począć nie umiał, cierpiał tylko... Wspomnienia przylatywały rojem i przedstawiały mu to Polę w uściskach jego, to przelotne owe chwile wieczornych schadzek, to słowa, które z ust zakochanej wybiegały płomieniste i wypaliły się w jego pamięci. Pierwsze to było uczucie namiętne, na które Julian się zdobył, a choć cierpiał przez nie wiele, boleść ta dała mu życie nowe, dziś trupem dla niego był świat... pustką dnie długie, a Karlin bez tego wesołego dzieciństwa nieznośnym grobem...

Aleksy, który widział w jakim stanie wyszedł Julian, nie potrzebował skinienia Anny, by zaraz za nim pośpieszyć; nie szedł mu robić próżnych wymówek, ale go dźwignąć i pocieszyć; zastał go odrętwiałym z boleści.

— Wiem o wszystkim, rzekł poważnie — nie miałeś siły i odwagi do szczęścia, o które walczyć było potrzeba i trochę się ze światem pokłócić, miejże chłodną krew i męstwo w nieuchronnem cierpieniu... Nie unikaj go, staw mu czoło i zahartuj się...

— Dobry jesteś na mentora! ofuknął się Julian — ty coś zimny jak kamień i życie sobie urządziłeś, aby ci szło jak angielski zegarek... proszę cię zostaw mnie samemu sobie i zapomnij o mnie!

— Julianie! Julianie! nie wyrzucaj mi chłodu, nie wiesz i nigdy wiedzieć nie będziesz co się dzieje we mnie; ale panuję nad sobą i nie dam czytać na twarzy boleści jaka mnie trawi; zrób jak ja!

Julian się rozśmiał.

— Zaprawdę, rzekł — nie masz najmniejszego prawa stawiać mi się za przykład, nigdyś nie kochał i nie stracił tego co ukochałeś!

Aleksy zamilkł.

Prezes, który z daleka widział wszystko, wszedł na te słowa, nie chcąc dozwoić ani Julianowi samemu pozostać, ani Aleksemu, którego podejrzewał ciągle, brać nad jego umysłem przewagę; na progu pokazał twarz uśmiechnioną i zawołał do synowca:

— Otoż będziemy mieli wesele! musisz już wiedzieć, że Justyn żeni się z Polą. Nie mogli się dobrać lepiej! cieszę się niewymownie. Pola trzpiot i gorąca dziewczyna, dobrze, że za ślepego idzie Homera... przynajmniej nie zobaczy jej wybryków, za które ręczyć można. Trzebaby żebyście i wy co dla Poli zrobili, kiedy stryj Atanazy daje im Hory.

— Zapewne, rzekł Julian zmieszany — Anna to obmyśli.

— Anna mi już mówiła o wyprawie, to samo z siebie; możeby do niej dodać jakie pięćset dukatów na szpilki?

— Jeśli przyjmie!

— O to bądź spokojny! Ale tak to jakoś szparko poszło, że nimeśmy się opatrzyli, zakochali się wzajemnie, dali sobie słowo, urządzili i za parę tygodni ślub i wesele... Gdyby ci się tak udało z Gerajewiczówną!

— Mnie się nigdy nic nie uda, kochany stryju, rzekł Julian przeprowadzając oczyma wychodzącego Aleksego.

— Zkądże ta gorycz i zwątpienie?

— To tylko przeczucie.

— Zkądże przeczucie! Daj pokój! Miłość tego rodzaju jak Poli i Justyna nie do zazdrości, i tego ci nie życzę; jest to piecyk, w którym się wypala najnieszcześniejsza przyszłość. Młodości tylko, niedoświadczeniu i ludziom

tej klasy, wolno być tak prostodusznymi! Dla ciebie chciałbym wygodnej egzystencji, grosza, znaczenia, czegoś gruntowniejszego, chłodno obrachowanego i *przyzwoitego*; a to ci się udać mnsi gdy zechcesz... Jeśli pozazdrościsz Poli i Justynowi, zawsze ci wolno będzie zrobić gdzie romansik na predce i rozwiązać go gdy cię znuży, choćby z tą samą Polą, która za kilka miesięcy uśmiechnie ci się z ochotą zuudzona swoim poetą...

Spojrzeli sobie w oczy, Julian był rozdrażniony.

— Nie jestem jeszcze tak stary, rzekł — żebym mógł chłodno i prozaicznie mówić o sprawach serca... wierzę w miłość i zazdroszczę jej wszystkim!

— I ja także, dodał prezes siadając w krzesło wygodnie — nie brzydka to zabawka, ale wprowadzić ten żywioł w poważne, surowe życie, jest to chcieć z trzciny stawić fundamenta do murowanego domu. Kochamy się wszyscy do jakiegoś czasu... potem lubimy kobiety... w ostatku dogadzamy tylko sobie... poezja gaśnie, rzeczywistość zostaje. Ze starym twoim stryjem, którego za ojca powinienes uważać, potrzeba być szczerym kochany Julku; zdaje mi się, że miałeś do Poli trochę sympatji. Nic dziwnego! ładne dziewczę, główka dobra, talent wielki, serce rozgorączkowane, byliście razem... ale wielkie to dla ciebie szczęście, że ją Justyn bierze...

Juljan zarumienił się.

5) — Nie ma *die* czego wstydzić, rad jestem, że ten pierwszy ogień wyszedł z ciebie, *il faut que jeunesse se passe*: choć ci dziś może być przykro trochę widzieć ją w objęciach drugiego, aleś przecie nie mógł ani na chwilę pomyśleć zenić się z Polą; a trzymać sobie kochankę pod bokiem Anny, i do tego sierotę wychowaną u was w domu jakby na to, żeby paniczowi służyła do romansów,

nie wypadło! Skończyło się więc bardzo szczęśliwie: postękasz, powzdychasz i zapomnisz, a jeślibyście sobie później stare dzieje przypomnieli... ha! !..

Rozśmiał się prezes pocierając głowę z ruchem komicznym.

— Mówmy, rzekł — o czem innem; jestem pewny że ten głupi Aleksey jest przyczyną, iż rzecz tę bierzesz na serjo; widzę to po twojej chmurnej i tragicznej twarzy... Aleksego nie cierpię, sam byłem za przyjęciem go do Karlina, dziś przekonywam się że mąka wystrzelił. Ten człowiek nigdy się rozumu i praktyki życia nie nauczy; fałszywe pojęcia w was szczepi, opanował umysł Anny, twój, zjednał sobie Emila, który się bez niego obejść nie może, gdzie stąpić wszędzie go pełno, nikt nic bez zezwolenia i aprobaty pana Drabickiego zrobić nie śmie... to mi się nie podoba...

— Ale kochany stryju, to najzacniejszy z ludzi! rzekł Julian, dobywając z trudnością stłumionego głosu.

— W słowach rodzaj stoika, lecz rozpatrz się tylko, jak was wziął w kluby! Nawet Anna, kochana i święta Anna przez jego oczy patrzy, ty, już nie mówię, a Emil życie by za niego oddał. Człowiek prawy nie starałby się o taką przewagę w domu, o takie zawładanie wszystkimi; to dla mnie podejrzané... ma jakieś plany i projekta...

— Cały wylany dla nas... niech stryj spojrzysz w jego czynności, co za beziinteresowność.

— Ma rozum, nic więcej; wszystko to dla mnie dowodzi tylko niebezpieczeństwa... chciałbym się go pozbyć... to intrygant... Jestem pewien, jak dwa a dwa cztery, że gdyby wiedział o twojem przywiązaniu do Poli, z którym przede mną już nie masz się co tać,

zamiast wystawiać ci śmieszność twojej namiętności, byłby cię pędził punktem honoru do ożenienia.

Prezes spojrzał w oczy Julianowi, który się zmieszał widocznie.

— No! to ci daje miarę człowieka, zwycięsko dodał stary. — Demagogiczne jakieś pojęcia, przytem nie lubię że się stawia ciągle jakby na równi z nami; z tobą chce być za pan brat, zbliża się do Anny w sposób obrażający, dla mnie jest choć z uszanowaniem, ale zawsze nie tak jakby być powinien oficjalista... Prezes przeszedł się po pokoju sztywny i wyprostowany.

— Kochany stryju, przerwał Julian — nie zapominaj że to towarzysz i przyjaciel mój; że nas dawniejsze i poufale wiązały stosunki.

— Wszystko to dobrze, ale ja poufaleństwa się takiego od tego rodzaju ludzi znieść nie umiem, i powiem ci jednym słowem, że się Drabickiego chcę pozbyć.

— Toby było bardzo trudno, bez powodu, rzekł Julian — nawet Anna.

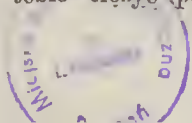
— Ja o tem pomówię z Anusią; juściż samo to, że ci się go pozbyć trudno gdy zechcesz, powinno otworzyć oczy... wkrótce zaprzęże was tak wszystkich, że on tu w istocie będzie panem.

— A Emil?

— Emil się obejdzie bez opiekuna, rzekł prezes — jest dziś na takiej drodze, że możnaby go zawieść do Warszawy i postarać się o dalsze jego ukształcenie...

— Zawsze, kochany stryju, odwołuję się do Anny...

— A i ja bez niej nic nie zrobię, przerwał Karliński — naradzim się, pomyślemy i grzecznie rozstać z nim musim, dla mnie to istota antypatyczna... zdaje mi się nawet że i tobie ciężko poczyną... choć się do



tego nie przyznasz...

— Mnie? ja go kocham! gorąco rzekł Julian — i ty-leśmy mu winni.

— Zawsze pamiętaj — poważnie przerwał stryj, że tego rodzaju ludziom jeśli się winno, to się płaci... za-płacim...

— Ale to są długi serca...

— Najprostsza rzecz wszystko obrachowywać na brzę-czącą monetę...

Na tem się rozstali; ale prezes, który czy podsłu-chał, czy się domyślił zdania Aleksego gdy szło o Po-lę, obrażony także tonem niezawisłości jaki przybierał Drabicki, postanowiwszy się go pozbyć, z tą myślą po-szedł do Anny.

Tu ciężej nierównie było mu do rzeczy przystąpić; szanując dziewictwo czystej duszy i to co nazywał złu-dzeniami kobietami, Karliński nie mógł powiedzieć jej jak mówił Julianowi, co miał przeciw Aleksemu i czego sie od niego obawiał; potrzeba było wyszukać pozor-nych powodów i oprzeć sie na innych wnioskach. Ale staremu nie brak ich było; życzył jak najlepiej swoim przybranym dzieciom, szczerze pracował nad ich do-brem, a to dobro, że sobie po swojemu wyobrażał i fał-szywie, temu zapewne nie był winien.

Zaczął więc od wychwalania Aleksego.

— Co to za pocziwy i nieinteresowany człowiek, rzekł do Anny — im więcej się go poznaje, tem więcej ceni.

— A! prawda, kochany stryju! szorstki jest czasem, nieugięty, ale tak prawy i zacny...

— Niezmiernie mnie boli, że te przymioty nie są wystarczające aby zeń uczyniły ideał rządcy i ple-

nipotenta.

— Masz mu co do zarzucenia, kochany stryju?

— Ja! nic a nic! owszem, podziwiam go, ale w skutkach pragnąłbym czegoś więcej i coby z łatwością lada kto inny, mniej skrupulatny a baczniej zaglądający w głąb rzeczy otrzymał... Poezja z gospodarstwem źle chodzą...

— Ale to człowiek tak praktyczny.

— Za mało, kochana Anno! za mało! właśnieśmy to mówili z Juljanem.

— I on to znajduje?

— I on!... Szkodaby było pozbywać się tak zacnego człowieka, a jednak...

Anna się przestraszyła i powstała z widocznem uczuciem niepokoju.

— Mój drogi ojciec, czy tylko się nie uprzedzasz? zawołała; ty nam tak życzysz dobrze! chciałbyś więcej niż podobna uczynić, a szukając lepszego, możemy wpaść w gorsze daleko...

— Widzę, że mu bardzo sprzyjasz! rozśmiał się stary.

— Calem sercem... i nie zdaje mi się żeby zbytkiem szlachetności zgrzeszyć można, a on chyba nią tylko zawinił.

Prezes pocałował ją w czoło śmiejąc się, i na ten raz przerwał rozmowę, resztę zostawując na później i polecając wypadkom.

VIII.

Nadszedł dzień wesela Poli, która odzyskała sił trochę i zmuszając się wróciła do dawnej wesołości swojej, ale wybuchy jej zatrute były jakąś ironią gorzką

mimowoli przebijającą się w każdym słowie. Oszczędzała jej tylko dla Justyna już i tak zamyślonego i smutnego, w którego spodziewane szczęście wgrzył się robak zwątpienia. Zdaleka będąc z Julianem, jemu szczególniej rzucała te słowa zabijające, których znaczenie on tylko rozumiał; biedne dziewczę śmiało się znowu, płakało, szydziło i niepojmowało życia po za granicami Karlina, który opuścić chciało i musiało co najprędzej.

W wilję już, fortepian darowany przez Aunę i różne fraszki któremi chciała wyposażyć przyjaciółkę, pojechały do Hor; Pola rozplakała się widząc ujeżdżającą przeszłość i zamknęła się ze swemi łzami. Na wesele nie proszono nikogo, prócz pułkownikowej z mężem, prezesa i pana Atanazego, który odmówił przybycia; ksiądz Mirejko, na którego indult wyrobiono, miał nowożeńcom błogosławić. Julian im bardziej zbliżał się ten dzień, przykrzejszego doznawał uczucia, zamykał się sam na sam i dręczył wspomnieniami; kilka razy chciał się przysunąć do Poli, ale ona zrećcznie go unikała. Choć nieproszony, przybył przypadkowo pan Albert Zamszański, który dla Karlińskiego znowu był drogiem gościem, odwołując uwagę i robiąc mu dystrakcję.

Anna równie mu rada była, i powitała go z uśmiechem przyjacielskim.... jak dawnego i dobrego znajomego.

Przybór do tego wesela, jak 'dzień, w którym się odbywało, był smutny, na dworze chmurno i chłodno, w pokojach pusto... każdy w swoim kątku myślał lub płakał; jeden Justyn z suchem okiem modlił się przygotowując do wielkiego aktu, którego ważność pojmował. W wielkiej sali przygotowano ołtarz z rozkazu

Anny, która sama go przystroiła w makaty, dywany i wazony... Zajęta temi przybory, zabiegała tylko do Poli kiedy niekiedy, całując ją w czoło i cicho modląc się do Boga o jej szczęście, łza ukradkiem spadała z jej powiek na myśl rozstania, lecz co się działo w duszy sieroty! a! tego nikt nie wypowie!

Przyszła nareszcie godzina ubrania; na stołach i krzesłach biały strój dziewiczy rozłożony był cały, z zasłoną, z wieńcem, z bukietem! Pola poglądała nań okiem zażawionem i nie chciała się ubierać...

— Dziecię moje drogie, odezwiała się Anna, zbierz męstwo i zacznijmy...

— A! ty nie wiesz, odpowiedziała panna młoda— jakie kajdany włożycie mi z tą suknią! w niej będę musiała opuścić Karlin na zawsze; a ja nie znam na świecie nic prócz Karlina, w nim przeżyłam młodość i nie pojmuję jak gdzieindziej żyć będzie można... przyszłość mnie przestrasza... upadam na siłach...

— Przecież nie sama i nie na zawsze opuścisz nas, droga Polo... Hory o mil parę... Justyn pojedzie z tobą...

— A! czemuż was wszystkich zabrać z sobą nie mogę, i całego Karlina i tej mojej izdebki, i ulic ogrodu i drzew do których nawykłam, szumu i tutejszego powietrza!

— No! ubierajmy się, przerywając umyślnie zawołała Anna... przeżegnaj się i zaczynaj.

Pola spojrzała na suknie, wieniec i bukiet.

— Nie! rzekła, nie zezwolę na to kłamstwo i nie włożę ani tej białej szaty niewinnej, ani tych kwiatów... ani zasłony! Sierota uboga pójdę przed ołtarz w codziennem ubraniu z pokorą, bez tych symbolów do których nie mam prawa... myśl moja zczerniła mnie... nic

już nie ma we mnie białego! Powinnam wziąć suknię żałobną, czerwony pas męczeństwa, krzyż w dłoń, cieniowy wianek na skronie, i tak stanąć na kobiercu...

Anna załamała ręce.

— A! na Boga! zawołała — co ci do głowy przyszło, coby to ludzie pomyśleli; jest obcy pan Albert Zamszański... będą Bóg wie co za plotki, wybij sobie z głowy to dziwactwo...

— Ale ja tego włożyć nie mogę....'

— Polo! jeśli mnie kochasz...

— To będzie kłamstwo!... to będzie oszukaństwo!

— Polo droga, w głowie ci się pomieszało!

Pola porwała się nareszcie żywo i spojrzała na nią z gorączkowym ogniem.

— Masz słuszość, rzekła śmiejąc się chorobliwie — wszystko było kłamstwem! skończmy jakeśmy zaczęli, wyjdę biała i czysta! cha! cha! tak być powinno!

Z tego wszystkiego Anna pojmowała tylko żal i rozdrażnienie Poli; korzystając ze słów ostatnich poczęła ją ubierać, i martwy ten posążek stał posłuszny przed zwierciadłem, w milczeniu przerywanem tylko konwulsyjnem drżeniem. Gdy przyszło wkładać wieniec, który pułkownikowa przypinać miała, pani Delrio weszła do pokoju z powagą, Pola w milczeniu uknęła przed nią i w uog ją pocałowała...

— Przebacz mi pani, rzekła, przebacz nieszczęśliwej, mozem nie była wam tak wdzięczną, tak posłuszną, tak dobrą sługą jakem była powinna...

Pani Delrio szybko uścisnęła ją i słowa nie wymówiwszy wyszła; widok przyborów ślubnych silnie ją uderzył wspomnieniem własnego życia..

Drużkami była Anna i skromne dziewczę, Joasia Za-

lecka, którą zaproszono z sąsiedztwa; płaczącą pannę młodą musiały gwałtem prawie podnieść z ziemi, i powiodły jak ofiarę...

W sali już się byli zgromadzili wszyscy, przypinano bukiety, Julian na swój poglądał z oczyma spuszczo-nemi... cisza panowała długa i ciężka, prezes tylko mierzył oczyma synowca niespokojnie. Obok, pierwszy raz wyprowadzony na obrzęd publiczny, stał Emil, którego wzruszony pilnował Aleksy; oczy głuchoniemego prze-latywały po twarzach i zdawały się niezrozumiałą roz-wiazywać zagadkę. Nikt nie śmiał począć rozmowy, Aleksemu na łzy się zbierało, tylko pan Albert Zam-szański przybrawszy pobożną i skromną minkę, zdradzał się niekiedy ciekawością z jaką poglądał po przy-tomnych. Justyn był poważny i smutny prawie.

Smer cichy zapowiedział przyjście panny młodej: rozstały się grupy i ukazała Pola, która na progu odzyskała siłę i przytomność, prawie wesołość... Błogosiawieństwo zaczęło się od pułkownikowej i prezesa... Z kolei obchodzono wszystkich, Pola upadła do nóg Annie i gdy się najmniej spodziewano, zwróciła się do Juliana, przed którym ukłękła drżąca...

— Pobłogosław i pan sierocie — zawołała stłumionym głosem... Ale Julian podał jej rękę podnosząc i obłany płomieniem, z bolem w sercu cofnął się unikając jej wejrzenia. Ten wzrok przecie błogosławił jemu, nie było w nim wymówki, nie było żalu, litość tylko i pragnienie szczęścia.

Ale już ksiądz Mirejko stał przy ołtarzu, do którego przyprowadzono państwa młodych; głos jego, nowożeńców i smer przytomnych, mieszały się razem... wiązano ręce, zamieniano pierścionki... i w chwili gdy

się wszystko niecodwołaną skończyło przysięgą, głuchy stukot dał się słyszeć... Pola upadła martwa na ko-bierzec... Justyn pierwszy rzucił się ją ratować i cu-cić, Anna przybiegła z ociem. — Otrzeźwiono omdlałą, która oczy otworzyła i głuchem westchnieniem powró-ciła do życia.

Prezes, nie dając Julianowi się nad tem zastanowić ani okazać co czuł, trzymał go ciągle przy sobie z pa-nem Albertem, złożył to na wzruszenie zbyt wyegzal-towanego do ich domu przywiązania i pokrył trochę szyderstwa... Tymczasem Polę potrzeba było zaraz od-prowadzić do jej pokoju, a z prawa swego Justyn po-szedł za nią. Pierwszy raz po ślubie spojrzeli na sie-bie, i Poddubiniec wyczytał w jej oczach taką boleść, że radby był dać życie, aby jej ująć swej żonie...

— Spocznij, rzekł — wrażenia, myśli, uczucia zła-mały cię... potrzebujesz ciszy i pokoju...

— Ale nie tu, odezwała się Pola rozdzierającym gło-sem prośby — idźmy, jedźmy... uciekajmy... jestem two-ją... bierz mnie i prowadź co prędzej; dłużej tu pozo-stać nie mogę, nie chcę, nie powinienam... Jedźmy! jedźmy!.

— Jakto! zaraz? — zapytał Justyn...

— W tej chwili — zdejmując wieniec, zrywając bu-kiet i zasłonę, zawołała Pola... jedźmy jestem gotowa...

Anna nadbiegła.

— Moja droga, moja najdroższa, z płaczem odezwała się Pola — pozwól mi jechać z Justynem; im dłużej przeciągnie się rozstanie, pożegnanie, tem więcej cier-pieć będę; boję się oczów ludzkich w tej chwili, piekłą mnie, pozwól mi jechać!

Anna odpowiedzieć nie umiała.

— A stryj? a matka? a Juljan? co powiedzą?

— Wytlumaczysz mnie chorobą, wzruszeniem, przypadkiem... czem chcesz... ten dzień byłby dla mnie zabójczym...

Konie były przygotowane i Justyn, spełniając wolę żony, sprowadził ją, a raczej zniósł ze wschodów do powoziku, który pod małą furtkę podjechał; nikt nie domyślał się ich ucieczki, gdy konie biegły już drogą ku Horom.

Anna weszła do salonu sama...

— A pani młoda? spytał prezes...

— Słaba, odjechała z Justynem do domu...

— Jako? bez pożegnania? bez objadu? przerwała pułkownikowa...

— Nie mogłam ją wstrzymać, nie śmiałam wstrzymać — odpowiedziała Anna... potrzebowała uciec aby nie płakać, tak ją bolało rozstanie z Karlinem...

Juljan słyszał zdala rozmowę, cierpiał, ale zarazem, kto to wytłumaczy? egoizm jego odzywał się w nim uczuciem wyswobodzenia; rad był może, że Poli nie zobaczy i uśmiechał się do Alberta i mówił ze stryjem swobodnie, usiłując pokryć przedślubny swój smutek i mimowolnie zdradzające się rozdrażnienie.]

Bez państwa młodych więc odbyła się uczta weselna, i zdrowie ich wypili goście dla ceremonji tylko; Juljan, przykładając kielich do ust spojrzał na Aleksego i spotkał wejrzenie jego poważne, smutne, pełne wyrzutów i skrytej boleści. Aleksey czytał co się działo w duszy Juljana i stara przyjaźń dla niego ostygła wśród dowodów niepojętej płochości i egoizmu tego człowieka.

— Byłoby to prawdą? mówił w duszy Drabicki, że

ci ludzie skutkiem życia swego, tajemniczych krwi swej własności, wychowania, nałogów, głębokiego uczucia doznać nigdy nie potrafią? że są drażliwi jak polipy i jak one bez serca? Nam-że to zostawiono tylko czuć silnie, długo i w sprawach uczucia za nich i za siebie pokutować? Mogę rachować na jego przyjaźń, kiedy najgorętsza miłość rozbiła się o obawę ubóstwa, o strach walki, o potrzebę gnuśnego spokoju? Ta płochosć jestli skutkiem usposobienia osobistego, czy spuścizną żywotów poświęconych luźwaniu, nie ogrzanych myślą żadną, nie związanych powinnością, nie pokierowanych celem? Jestli skutkiem mimowolnego przekonania o wyższości, której wszystko służyć powinno, jak dzieciom chrząszcze wbite na szpilkę do zabawy? nasze boleści, miotania, łzy krwawe, miałyżby dla nich być rozrywką? Mielizby ludźmi być tylko w młodości, dopóki z nich przykład i tradycja nie wygna szlachetniejszego popędu i starsi nie nauczą, że co dla świata jest prawem, do nich się nie stosuje, ich nie wiąże? A! byłoby coś przerażającego dla ludzkości w tym widoku istot spodłonych do takiej dumy, ogłupionych takim szaleństwem, i grzech szatana powstającego przeciw Bogu, odnowiłby się w tych istotach obłąkanych, aż do postawienia na jakimś szczeblu oddzielnym, wzniesionym nad głowami społeczności.

I pomyślał Aleksy o boleści, z jaką sierota uciekała z tego domu odtrącona zimno, w chwili, gdy Julian wesół prawie połykał wino za szczęście i pomyślność wczorajszej kochanki... Smutno mu się zrobiło, ciężko na sercu patrząc na twarz dawnego przyjaciela, coraz się wyjaśniającą i obojętniejszą.. Gdzie była ta miłość gwałtowna, gdzie choć jej wspomnienie? W dniu wesela czczy rozmowa już ślad ich zatarła...

IX.

W milczeniu przebyli państwo młodzi tych mil parę, które ich od Hor dzieliły. Pola zasuniona w głąb powozu płakała; Justyn trzymał jej rękę w dłoni i zadumany milczał. Dla obojga przybycie do nieznanego domu, który miał zamknąć w sobie ich przyszłość, straszne było i jak wszystko nowe przerażające. Poeta uczuł także, że swobodne jego życie wędrowek, kontemplacji i dumania zawarło się na wieki; nie był panem siebie; zwodnicza nadzieja przykuwała go do drugiej istoty, od której nie mógł wziąć szczęścia, ani go jej udzielić. Raj zmienił się na progę w Golgotę; pieśń zamierała na ustach, serce bolało i krwawiło się, życie chwytano w szpony swoje dotąd jak ptak wolnego Justyna.— Wzdrygnęli się oboje, gdy powóz zatrzymał się nagle i wysiąść było potrzeba; ujrzeli przed sobą stary dom drewniany, ogromnemi otoczony lipami, pusty, samotny i cichy.

Drzewa opasywały tak dokoła podwórze, że świata za nimi widać nie było; w jednym tylko miejscu z po za pni świeciło kawał łączki z rzeczułką, której się domysleć było można po rosnących w jej łożysku zielach i łożu; a na drugim brzegu las opasywał niewielki pola kawałek. Powietrze było przesiąkłe tą wilgocią, którą czujemy w lasach i cieniu; stary dom drewniany okrywały mechy i pleśnie. Oddawna nikt go nie zajmował; wyporzadzono tylko na prędcę dla Justyna, oczyszczono trochę z rozkazu pana Atanazego, i pozbijano chwasty, które go otaczały.

Gałęzie drzew zwieszone u okien, obejmujące domo-

stwo i pokrywające dach jego, pięknie je ale smutno stroily; wchodząc wewnątrz, poczuli oboje coś grobowego, woń podziemia, i oczy ich nie prędko oswoiły się z mrokiem, jaki tu cały dzień panował.

Nikogo nie zastali w ganku, nikogo we dworze, który stał otworem; weszli milczący i oczy Poli, w milczeniu pośepnem przebiegły po szarych ścianach... Nic tu nie brakło, był pewien porządek i myśl upiększenia nawet, ale smutek wiał po pustce, nie było w niej śladów życia. Jedyne dla niej były może sprzęty z Karlina przywiezione, ku którym rzuciła się z wybuchem żalu: fortepian, u którego tyle godzin spędziła, krzesło, stolik jej dziewczęcy, koszyk z robotą, szklanka od bukietów, kilka książek i święte obrazki, które nad jej łóżeczkiem wisiały. Ręka Anny dodała do nich co tylko mogła, by wspomnieniem Karlina ożywić Hory i przenieść tu trochę przeszłości... Pola poznała w swoim pokoiku wszystko co dla niej miało cenę przypomnień, do czego się wiązała serdeczna jakaś pamiątka... ale ten sprzęt przywieziony przez obojętnych, leżał rzucony jak sama przeszłość, potluczony i bezładny...

Justyn prowadził żonę powoli i patrzył z równą ciekawością, ale w nim jak dom tak to co w nim było, nie obudziło żadnego wrażenia; uczucie smutku pochwyciło go na progu i wiodło po nowem dziedzictwie. W czwartym pokoju otwierając drzwi, gdy oczy podniósł poeta, krzyknął postrzegłszy siedzącego w krześle pana Atanazego, który czytał z wielkiej księgi, głęboko zamyślony. Pola mimowolnie przytuliła się do męża. Mało знаła stryja Anny, widywała go rzadko, a poważna ta, surowa postać zatopioną w jakimś religijnem rozmyślanu, przestraszyła ją zrazu.

Pan Atanazy czytał i nie postrzegł przybywających, aż gdy się do krzesła jego zbliżyli; podniósł oczy i nad klęczącymi wyciągnął ręce w milezeniu... — Książka spadła mu z kolan... Wzrok jego badający zatonął w Poli...

— Otoż wasze ziemskie dziedzictwo — rzekł powolnie... błogosławiłem je modlitwą... ja lubię to miejsce, a zresztą, nie jednoż człowiekowi tu czy tam cierpieć i narzekać? — Smutno ci będzie moje dziecko po Karlinie — dodał, ale na ziemi myśmy wciąż wygnaćcy! Tęsknim sami nie wiedząc za czem, za niebem i starą ducha ojczyzną... tęsknim za Bogiem, szukając go w ludziach, i nie mamy spoczynku, aż błąd poznamy i zwrócimy się ku Temu, co nas pociąga, w którego łonie jest spokój i szczęście! Oto wasz szalas na pustyni, w którym macie przeżyć chwilę, co się wam wyda długą niekiedy, a ujdzie błyskawicą... Justyn wyświęcił się na kapłana poezji i wieszczą, wziął ciężar na ramiona... inaczej kółko jego obowiązków byłoby skromnem i małym... Tobie kobieto pozostaje podzielić z nim wszystko... zjednoczyć się z nim, jak w niebiesiech wszyscy zjednoczymy się z Bogiem... Tu, wszystko jest symbolem i skazówką, każde uczucie prowadzi manowcami często, ale do wielkiego celu... Każdy krok życia przepowiada przyszłość, tak i połączenie dwojga ludzi jest proctwem zjednoczenia naszego z Chrystusem... małżeństwo jest postacią i symbolem... Ma ono i to wielkie godło na sobie, że jest całe poświęceniem...

Pola nie pojęła słów starca, myśl jej błakała się gdzieindziej i biegła ze łzami do Karlina... pan Atanazy złożył księgę.

— Stary, nudzić was nie będę, przyszedłem tu spoj-

rzec tylko i wracam do Szury; jeśli wam czego będzie potrzeba, przyslijcie do mnie...

To mówiąc, szybko zerwał się z krzesła, wziął kij i kapelusz, i rzuciwszy okiem na sierotę, na Justyna, oddalił się szybkim krokiem, zostawując ich samych...

X.

W Karlinie dnia tego daleko było weselej, a choć Aunie przypominała się towarzyszka lat dziecinnych na każdym kroku, ludzie co ją otaczali, goście, gwar, rodzina wreszcie, nie dali nawet po cichu zapłakać. Może też i Albert Zamszański przyłożył się do rozweselenia jej, gdyż od tych drugich odwiedzin, z widocznem staraniem przypodobania się, na chwilę nie opuszczał Anny. Jego łatwa rozmowa, dowcip i gietka umiejętność zastosowywania się do tych, do których zbliżał, coraz go mielszym czyniły. Z Aleksym, jakkolwiek go cenila, nigdy nie była tak swobodną, ani tak dobrze zrozumianą, on nie wahał się sprzeciwić, sprostować, i nie ugiął do wyobrażeń Anny. Często różnili się w zdaniach, a ogromna dzieląca ich przestrzeń wszędzie się niezuć dawała. Jakkolwiek święta, Anna miała niektóre pojęcia tego kółka społeczności, w jakim zrosła i ciężko jej było rozstać się z niemi. Dla niej Aleksy często wydawał się zbyt śmiałym, zuchwałym prawie, gdy z wielkich prawd wiary snuł przedzę wniosków, nigdy myślą dziewczęcą niedosięgnionych — szanowała go i obawiała się razem... Surowość jego odstręczała istraszała; miłym był wreszcie, ale zawsze w nim czuła jakby przybylcą z innej sfery, noszącego piętno pochodzenia na seren i myślach.

W Albercie. który miał nadewszystko wielką zręczność przedstawiania się jak chciał, nie nie było rażącego; a że jak gąbka rozsądna, nabrał w siebie wszelkiego rodzaju zapasów, które wiedział gdzie wylewać, że wybór myśli cudzych umiał uczynić dobry, że myśl każdą przystrajał i dowcipem ożywiał, może się wyższym wydał Annie pod tym względem od Aleksego. Szczęśliwa powierzchowność, ładna twarzyczka, szykowny ruch i zręczność postaci, nie tu także nie przeszkadzały... Są ludzie tak szczęśliwie obdarzeni, że fałsz dla nich nie istnieje. nie pojmują go, bo nie mają w sobie, potrzeba, by im ktoś oczy otworzył, sami zawsze będą ślepi. Anna dobrocią swą i czystością była taką właśnie istotą, dla której wszystko było prawdą, co się nie chciała i nie mogła nigdzie sama domyśleć fałszu. Dla tego i Albert, wyrób sztuczny, świecący blaskiem pożyczanym, nie z siebie dobyć nie umiejący, dla niej był cudnem zjawiskiem pełnem uroku. Może i serce, co kochać pragnęło, chwyciło się tego widma, cienia ideału i przyłgnęło do niego.

Aleksy z boleścią w sercu ujrzał ją, pierwszy raz mieszającą się od wzroku młodego gościa, zarmienioną, wesolą, zalotną prawie, i te symptomata rodzącego się uczucia nie uszły jego oka. A! gdyby był mógł choć powiedzieć sobie, że ten, który je obudził, był ich godnym? Niewypowiedziany ucisk i boleść przejęły mu serce, widział ideał swój rzucony na pastwę najpospolitszemu z ludzi, i drżał odgadując całą jego przyszłość. On, co nie śmiał na nią podnieść oczu, co byłby na klęczkach przepędził życie, patrząc tylko z daleka na zjawisko niebieskie, ujrzał je spływające na ziemię ku stworzeniu, którego nicość wzbudziła w nim pogardę.

Patrzył i patrzył zdziwiony, rozbierał w sobie ten fenomen moralny i pojąć go nie mógł. Rzecz jednak była nietylko do wytłumaczenia łatwą, ale bardzo pospolitą; w sferze, w której forma jest prawie wszystkim, gdzie się tak przywiązują do niej, że jej poświęcają głębi i treść człowieka, co chwila spotykamy oszukaństwa tego rodzaju. Ludzie niechętnie się prędko odgrywać pewną rolę i najpoziomsza zdolność malpiarska na wydolanie temu zadaniu wystarcza. Instykt wiedzie do wyboru wzorów, do ich użycia, a najmierniejsze z istot mogą przybrać kształt najwytworniejszych. Społeczność, wśród której się obracają, czyni tę komedję długotrwałą; tu nigdy nie wolno zajrzeć w głębi i śledzić istoty; wszyscy są równi wobec form pewnych, po za które wyjść nie wolno; trzymając się w nich, nie ma się co obawiać zdejmaskowania.

Albert nie wart był Aleksego, ale umiał się popisać z tem, czego mu brakło, gdy tamten krył prawie z tem, co posiadał; pierwszy wszystko miał pożyczane, zrobione, gotowe i w nim praca myśli, usiłowanie, nigdy nie było widoczne: pamięć przynosiła co kazał; Aleksey zastanawiał się, myślał, dobywał z serca i duszy, i często nie miał czasu nadać postaci wdzięcznej temu co tworzył. Wielka znajomość świata i zagadnień czasowych, wyższość nadawała Albertowi; rozwiązywał je wszystkimi kłeczami, jakich mu dostarczało doświadczenie... Zawsze był gotów z odpowiedzią, z zarzutem i odbiciem jego, gdy Aleksey myśleć musiał i mazać się nad wszelkiem nowem dla siebie zadaniem. Ztąd jeden zdawał się ociężałym i ograniczonym prawie, gdy drugi lotny jak myśl, przyswoiwszy cudze, szafował nim z rozrzutnością bogacza.

Zniósłby był może Drabiaki mężnie, gdyby się wdział poświęconym równemu sobie; zabolalo go, gdy ujrzal taką mierność zuchwale posuwającą się tam, gdzie on myślał nawet zejść nie śmiał.

Prezes i Juljan zobaczyli wprzódce zmianę w Annie, dostrzegła jej pułkownikowa i jak tylko przypuścić mogła rodzące się przywiązanie, widząc w niem już szczęście córki, postanowiła, pamiętna zawodów całego życia, dać jej to czego pragnęła, gdyby najsrozsza walkę o dziecię stoczyć przyszło. Juljan wcale się nie zdziwił, obojętnem mu to było; zresztą Alberta ocenił jak Anna, łudząc się jego powierzchownością; prezes tylko chmurno to przyjął i z pewnym niepokojem.

Kochał Annę jak dziecię własne, obawiał się o nią, a zawsze na pierwszym miejscu i jako pierwszy warnnek kładąc dostatek, zląkł się o przyszłość, nie znając Zam-szańskich tylko z pana Piotra...

Patrzył prezes dui kilka, wreszcie widząc, że Anna co dzień jest lepiej i bliżej z Albertem, który nie tai uczucia jakie dla niej powziął, uczuł potrzebę wybadania trochę starego kuzyna. Dotąd łapiąc z mowy młodego człowieka co tylko było można, nie jednak nie schwytał objaśniającego; wiedział, że podróżował, że miał rodziców w Poznańskim i dosyć liczne rodzeństwo, że ich poufale stosunki łączyły z pierwszemi domami w księstwie, ale nie więcej. Resztę domysławiając się, potrzeba było odgadnąć jak najkorzystniej dla młodego człowieka, który te drobne rysy puszczał umyślnie tak ułożone, by z nich pewne wnioski same się wywiązywały, i obraz stworzył jak go osnuł artysta.

Zapalili cygaro po obiedzie, i pan Piotr miał już coś mówić o Loli, gdy nagle prezes odwrócił się do

niego i zapytał:

— Miły to człowiek Albert... w jakim to stopniu pański krewny?...

— Stryjeczny! stryjeczny! — rzekł pan Piotr zmieszany trochę natarczywością... otóż nieporównana Lola...

— Mieszka w Poznańskim? — spytał, nie dając się zbić prezesa.

— W Poznańskim, koło Kościana...

— Bogaci być muszą ludzie?

— Majętni — odparł przyciśniony pan Piotr, ale liczne rodzeństwo, a tam majątki nie tak dają, jak u nas...

— A! mruknął prezes... bardzo miły chłopiec; co za wychowanie! Pan powinienbyś go tu wstrzymać; szkoda nam go będzie stracić...

— Chybabyśmy go tu ożenili — rzekł pan Piotr, mrugając okiem jednym... ja nawet mam projekcik!

— Doprawdy? — spytał prezes, bojąc się by nie wpadł w nastawioną łapkę.

— Zeni Gerajewiczówna! — szepnął Zamszański.

Karliński porwał się jak oparzony, nie poznał się nawet, że to był tylko manewr pana Piotra, który dobrze wiedział, że prezes czatuje na Gerajewiczów dla Juljana, i że strach może ułatwić staranie o pannę Annę. Byłby wprawdzie wolał Zeni i jej miliony od Karlińskich, ich imienia i skromnego posagu Anusi; ale wiedział dobrze pan Piotr, że Gerajewicze za przybysza lekko córki jedynaczki nie dadzą. Puścił więc tę racę tylko dla prezesa na wszelki wypadek. Jakkolwiek zręczny i domyslny, Karliński nie postrzegł wybiegu i przeląkł się zrazu.

— Doprawdy? zawołał — a! śliczna też to partja,

i możnaby jej powinszować; przyznam się nawet panu hrabiemu, że dla Juljana snuło mi się to po głowie.

— A! nicem o tem nie wiedział, rzekł pan Piotr — ale jak pan tak ja nie jesteśmy wcale intryganci; siłą i chytrością brać panuy nie myślimy, a zatem komu pan Bóg da szczęście!...

Prezes usiadł uspokajając się po troszę dla oka, ale zawsze widno było, że go to przestraszyło.

— Ba! rzekł — Gerajewicz jak nudny tak rachmistrz wielki! Będzie, zdaje mi się, za córkę rachował, i nie da się jej pokochać, póki nie obliczy narzeczonego!

— Byliśmy u Gerajewiczów, przerwał pan Piotr — i naturalnie oglądaliśmy wszystkie osobliwości, słuchaliśmy muzyki, a ten łotr Albert chwalił, że nigdy nie za granicą podobnego nie widział i nie kosztował. Gerajewiczowi to nadzwyczaj pochlebiało, że jego *bric-a-brac* porównywał z gabinetem ks. de Ligne w Belgii... a grę jego do *Vieuxtempsa*... Filut chłopiec!... o! filut!

— Filut? pomyślał prezes — dobrze to wiedzieć! — a głośno się odezwał: — I myśmy niedawno mieli to szczęście być na koncercie i ekspozycji w Sytkowie...

— Ale powiem ci, mój prezesie, dodał poprawiając się pan Piotr — że mój Albertek nie bardzo zasmakował w pannie, nie lubi blondynek, przytem to wypieszczenie i bałwochwalstwo rodziców dla niej przestraszyło go...

— I nas to zraża, rzekł prezes — to pewna, że za te miljony Gerajewiczów przyplacić będzie dobrze potrzeba, a w dodatku czekać na nie, bo starzy nie nie dadzą prócz córki, a sami pożyć mogą *minimum* lat trzydzieści; uprawa sztuk pięknych konserwuje...

Rozśmieli się, ale Karliński nie przerwał wątku myśli,

i dorzucił:

— Taki młody człowiek jak pan Albert łatwo sobie znajdzie partję... niezmiernie dystyngowany...

— A co za takt! dodał pan Piotr — a co za smak! nawet w drobnostkach... wystaw sobie, że cygara ma takie... prosto z Hamburga! I przywiózł mi machinkę do suszenia ich, wynalazek, na jaki chyba wiek XIX. mógł się zdobyć; enda dokazuje! Ja to wyżej kładę machin parowych i elektrycznych telegrafów... na to może większego było potrzeba wysiłku nauki i rozumu, niż na zastosowanie pary!

Prezes się rozśmiał; a w tem zawołano ich na herbatę.

Anna wyręczając matkę, zajmowała się gospodarstwem około stolika, Albert jej pomagał, i łatwo było dojrzeć między nimi tej ponętności, która jest pierwszym szczeblem ściślejszych serdecznych stosunków.

— Co za śliczna para! rzekł po cichu pan Piotr do prezesa, wskazując Alberta i Annę; Karliński trochę się skrzywił i pod nosem odpowiedział słowami Fredry:

— Gdzie dwoje tam para!

W salonie tylko ich dwoje śmiał się i bawiło wesoło; pani Delrio patrzyła na nich przechodząc swoje życie zwiędłe i zmarnowane, Julian wielkimi krokami przebiegał mileząc salon pusty dla niego i obudzający wspomnienia niezatarte, Aleksey patrzył oknem, nie mogąc znieść widoku sponfaleria ze swoim ideałem tego zręcznego komedjanta, w którym serca ani duszy dotąd się nie dopytał.

— Dobry to staropolski nasz zwyczaj, mówił Albert — że u nas same panie robią herbatę... to jej ceny i smaku dodaje... W Paryżu...

— Dla czego pan tak często Paryż wspominasz? spytała Anna.

— Bo jakkolwiek nań u nas modą dzisiaj balasować i dziwne rzucać potwarze, jest to może jedyne miejsce, gdzie wyższe towarzystwo żyć umie i gdzie życie jest najmilszem.

— Milsze niż u nas? wszakżeś pan chwalił nasz stary zwyczaj?

— I cenię wysoko wszystkie stare zwyczaje, ale raz przypuściwszy życie dla życia, życie same sobie będące celem, nigdzie go tak nie rozumieją jak w Paryżu... Nie widać sprężyn, które poruszają tę sztuczną machinę: wszystko idzie czarownym sposobem łatwo, lekko, w swojej porze przychodzi, mienia się... mija... sensacje tak są obrachowane, przyjemności taką idą kolejną miśterną, że ani się człowiek postrzega, że gdzieindziej życie być może ciężarem... O! życie jest wielką sztuką, umiejętnością prawie.

— Ale pan mówisz o życiu, którego nie rozumiemy; takie jest anomalią wśród świata... żyć, by się zabawić i nżyć?...

— Naturalnie ze stanowiska moralnego! rzekł Albert — to co innego.

— Ale nawet dla serca! dla duszy!

— Prepraszam panią, w tej umiejętności życia, jak te tam pojęto, wszystko wchodzi w rachunek: jest trochę dla serca, jest dla duszy, dla uczucia piękna, dla ideału, dla wszystkich potrzeb człowieka, dusznych, cielesnych...

— Ja sądzę, że najwięcej dla egoizmu...

— Ale dobrze zrozumiany egoizm nie jest bo tak straszny, podchwycił Albert lubiący paradoksa — nie

jest tak ohydny jak się wydaje. Dobrze pojęty mieści w sobie filantropię rozumowaną i nie przeszkadza nikomu...

— To całkiem dla mnie nowe, odpowiedziała Anna.

— Wstręt do egoizmu jest przesądem, rzekł śmiejąc się młody człowiek — jest to przecie siła spójna, bez której świat-by się nie utrzymał, ale tą siłą rozum musi kierować jak innemi. W stanie barbarzyńskim egoizm burzy i wywraca, bo nie ma jutra, w cywilizowanym staje się konserwatorem.

Aleksy słuchając z daleka ruszył ramionami, ale nie śmiał się odezwać; Anna w duszy nie dzielając sposobu widzenia Alberta, wzięła to za pomysł bardzo głęboki.

— Co to za dowcip! mówiła w duchu. — I oczy jej spotkały się ze wzrokiem Alberta, szukającym już wieńca za ten wysilek pamięci.

Rozmowa w tym sposobie trwała między Anną i Zamszańskimi swobodna i nikt jej nie przerywał. Aleksy smutny, patrzył i słuchał upokorzony niemal tem, co zwał upadkiem Anny.

— Biedne kobiety! mówił — zawsze być muszą państwą ludzi, którzy nie są ich warci; najdziwniejszym losem, najpoetyczniejszą z niewiast musi paść ofiarą szyderskiego jakiegoś sceptyka, który przed nią błysnie dowcipem lub westchnieniem w niej litość obudzi, najświętsza da się złudzić najzepsutszemu, najłagodniejszą opanuje ten, co jej da uczuć swą siłę. Prawo sprzeczności wzajem się pociągających i dopełniających tu wyraźniejsze niż gdzieindziej: obok niego, przemoc prawie zawsze kojarzy serca. gwałt je porywa, a miłość cicha i do poświęceń gotowa usycha niepostrzeżona; nikt

jej się nie domyśli, nikt tego kwiatu nie zerwie wśród chwastów!!

Ból, którego doznawał Aleksy, przeczucie losu, jaki miał spotkać biedną Annę, zajął go tak mocno, że nie postrzegł prezesa, który grzecznie zbliżył się do niego, i z cicha mu szepnął, że jutro chce mieć sobie przedstawionym ogólny stan interesów i rachunki.

— Jestem zawsze w gotowości, odpowiedział Aleksy— i w każdej chwili mogę wskazać co się panu podoba...

— Bardzo dobrze, zobaczymy — rzekł prezes obojętnie — potrzebuję wejrzeć wedle mego zwyczaju w ogół i obmyśleć środki na przyszłość; naradzim się wspólnie z Julianem...

Aleksy nic nie odpowiedział, ale go uderzył ten nagły pomysł wejrzenia w to, co prezes znał doskonale i rozpatrywał co kilka tygodni; w istocie zamiarem było starego opiekuna tak nakierować rzeczy, żeby się w zdaniu poróżnić z Aleksym i zmusić go do porzucenia ich domu. Nie chciał tego sam uczynić, postanowił dla Anny i Juliana skłonić Drabickiego zrzeczenie, żeby on z własnej chęci ich opuścił.

XI.

Nazajutrz wzięto się do wiejskiej owej narady, do której Julian, obojętny zupełnie, tylko dla formy był wezwany; prezes tu grał pierwszą rolę. Aleksy przedstawił mu rachunki, plany, bilanse, i wskazał jakie środki obmyślił na uspokojenie głównych wierzycieli. Prezes szukał tylko pozoru, i zatrzymał się zaraz przy likwidacji długu żydowskiego, od dawna ciężącego na Karlinie; był to interes zawikłany, wreszcie skończył

się ugodą i pozostawało tylko zapłacić spadkobiercom starozakonnego; ale Aleksy, który zawierał układ, postąpił sobie szlachetnie i wszystko co było podpisane przez chorążycę, przyjął za stanowczą należność.

Prezes przeglądając papiery uśmiechnął się.

— Na tych żydach, rzekł — więcej, zdaje mi się, utargować było można.

— Być może, odparł Aleksy — ale chodziło o podpis pana chorążycę, a żydzi i tak kilkonastoletnie tracą procenta.

— Żydzi nigdy na nas nie tracą, zawołał Karliński.

— Tu, panie prezesie, straty ich są widoczne...

— Aż do zbytku pan jesteś skrupulatny i sumienny! zawołał Karliński.

— Zwłaszcza w cudzych interesach, rzekł Drabicki.

— Ale z cudzej kieszeni! szepnął prezes.

Aleksy zaczerwienił się i zadrżał; prezes na wszystko przygotowany zachował krew zimną; spodziewał się burzy.

— Gotów jestem dołożyć i ze swojej, gdzie mi przekonanie każe, zawołał popędliwie Drabicki.

— Niech się pan tak żywo nie obrusza, rzekł prezes — w interesach powinno się traktować chłodno i z namysłem...

— Staralem się o to, zawołał Aleksy — zresztą, jeśli to com uczynił, zdaje się państwu niedogodnem, wszakżeśmy wiecznym ślubem nie związani...

Juljan, znacznie ostygły dla Aleksego, który miał dlań i tę wadę, że jego zachceniom i popędowi do rozrzutności nie dogadzał, milczał; spojrział na niego na próżno Drabicki, a widząc obojętnym, z ukłonem złożył przed prezesem papiery i wyszedł.

Dopiero jak ze snu ocknął się Julian.

— Co to się stało, kochany stryju?

— Nic, zdaje mi się, że pan Drabicki, który najlżej-szej uwagi od nikogo nie znosi, obraził się tą, którą mu w najdelikatniejszy sposób uczynilem; sądzi zapewne, że go przepraszać i zapraszać będziemy, ale się mocno omylił.

— Jakto! miałby się z nami rozstać? zapytał Julian niespokojny.

— Tak mi się zdaje... wyszedł cały zaperzony. Proszę cię tylko żadnej słabości, nie idź do niego, nie посыłaj, tym sposobem grzecznie się uwolnim od niego; wina spadnie na mnie i po wszystkim.

— Ale ja dobrze nie słyszałem; o cóż to poszło?

— Dzieciństwo; powiedziałem mu w żarcie, że nadto szafuje z cudzej kieszeni; coś mi odburknął hardo, położył papiery i wyszedł.

Powróciwszy do swego pokoju, Aleksy bez zastanowienia, cały zburzony, natychmiast pakować się kazał służącemu i konie zaprzęgać; podziękował za objad, na który go proszono, nłożył resztę papierów i dotknięty tem, że Julian słowa nie powiedział w jego obronie, nie przyszedł nawet po przyjacielsku się z nim rozmówić, postanowił opuścić dom ten na zawsze. Może i miłość jego, która dochodziła do tego stopnia szalu, że widok Anny i Alberta był dla niego nieznośną męczarnią, przyczyniła się do tego. W pierwszej chwili wyjechać z Karlina, zdawało mu się niezmiernie łatwem, ale gdy zebrał pamiątki i poczuł gorycz w sercu, przekonał się, że go to wiele kosztować będzie. Nigdzie człowiek dłużej bezkarnie przebyć nie może, przyrasta do miejsca i ludzi; tu jeden widok obojętnej, chłodnej

ale codzień uśmiechającej mu się przyjaźnie Anny, osładzał wszystko; jedna z nią wieczorna rozmowa starczyła wątkiem na tygodnie marzeń niewyczerpanych. Wszystko potrzeba było stracić zarazem! Biednemu Aleksemu pomieszało się w głowie, zdrętwiał na miejscu jak siedział i resztę dnia przebył niewiedząc co się z nim działo; pakunki były gotowe, on nie wyjeżdżał, oderwać się nie mógł od tego miejsca...

Nikt ani zajrzał do niego; nie postrzeżono niebytności u objadu, która się często trafiała; stryj Juljana wstrzymywał, reszta towarzystwa o niczem nie wiedziała, niczego się domyslać nie mogła. Pozostał więc osamotniony, opuszczony, a w takiej chwili boleśnie go to zraniło... Czuł potrzebę zerwania stosunków, które nie prócz przykrych wspomnień przynieść mu nie mogły, i siły na to brakło; myśli plątały się po głowie, dziwaczne, bezładne a smutne; cały dzień upłynął w takim gorączkowym osłupieniu. Ile razy zerwał się z miejsca, Anna przychodziła mu na myśl; zdawało mu się, że czuwać nad nią był obowiązany, że niebezpieczeństwo w jakim zostawała, zmuszało go pozostać, ale po chwili rozmysłu opadały ręce. Czemże tu był? mógłże choć słowo wyrzec??

Tak walcząc z sobą, dosiedział Aleksey do wieczora; chciał się podnieść z siedzenia i jechać, ale nagle poczuł w głowie szum jakiś, w ustach gorycz i spaleniźnę, w całym sobie jakąś gorączkę dreszczem i łarem przechodzącą po nim gwałtownie, oczy mu się zasłoniły, wzrok przyćmił i zwlóklszy się z siedzenia upadł na łóżko, na którym już nie prócz trochy słomy nie było... a ledwie się położył zupełnie stracił przytomność; choro-
ba opanowała go nagle i gwałtownie...

Czuł że żył, ale ani sobą władać, ani zawołać, ani podnieść się nie mógł; mary jakieś przesunwały mu się przed oczyma duszy, to szydersko uśmiechające, to po-grzebowe i żałobne...

Oprócz wielkiego ciężaru na głowie, który był po-łączony z głuchą boleścią, stan Aleksego nie miał w so-bie nic przykrego; był dlań nowym i w pewien sposób miłym. Mózg rozdrażniony z wielką siłą przedstawiał mu spotęgowane i skupione obrazy, które zwykle pa-mięć pojedynczo i słabo malowała. W tym gorączko-wym dramacie ruch był potężny i życie podbudzone, szybko przesunwały się postacie jedne po drugich, zacho-wując swoje znamiona i charaktery; a jednak dziwnie jakoś podniesione do niezwyklej im działalności. Wszy-scy których znał, kochał lub nie nawidził w życiu, wró-cili w życiu chorobliwym: Anna, Julian, Emil, matka, stary Junosza, sąsiedzi z Żerbów, pau Atanazy, Justyn i Pola, a obok nich pełno nieznanomych figur wydoby-tych z komórek zamkniętych wspomnień, i żywo powsta-jących z mogiły...

Cały ten świat zdawał się być przeciwko niemu, wszyscy przechodząc miotali nań wyrzutami gorzkiemi, każdy zdawał się osobiście dotknięty, każdy miał jakąś winę i rzucał nią nań jak kamieniem, a Aleksey zwią-zany, niemy, bezsilny, próżno starał się coś odpowie-dzieć, niemoc wiązała mu usta... pęta opasywały ręce i nogi, kamień zwałił się na głowę i piersi.

W tym chaosie na jakimś tle chmurnem, wijącem się bez przestanku, w gwarze który co chwila się zwię-kszał, Aleksey postrzegał coraz nowe zjawiska... ale obłok jakiś przyćmiewał je powoli, ludzie zmienili się w po-czarne jakieś dymów kłęby i znikli... czarna cisza gro-

bowa nastąpiła po szalonym zamęcie...

Po niej latały tylko iskry i płomienie, to znowu rozlewała się jasność nieznosna, a po niej jeszcze ciemniejsza noc spadała na oczy...

Aleksy nie czuł już i nie wiedział co się z nim działo...

Śludzy odeszli, nie było przy nim nikogo, pozostał więc rozmarzony gorączką na łóżku do nocy; bo po rozejściu z salonu dopiero prezes namyślił się razem z Julianem odwiedzić Aleksego.

Znaleźli go bez światła na łóżku nieposłanem, dyszącego straszliwą gorączką, z oczyma osłupiałemi z spalonemi ustami, ze wszelkiemi oznakami niebezpiecznej choroby... Spytny nie dał im odpowiedzi, nie poznał ich nawet... Prezes zląkł się niezmiernie, Julian uczuł wyrzut sumienia, natychmiast posłano po Grebera, i Karliński sam zająć się chciał pilnowaniem chorego; ale stryj przewidujący, że choroba tego rodzaju może być zaraźliwą, nie pozwolił, odciągnął go i posłał po Bornowskiego, który tak dalece był do wszystkiego, że i przy słabych czasem lekarza zastępował. Nie powiedziano też nic Annie, nie dano znać do Żerbów aby matki nie przestraszać, Julian ze spuszczoną głową poszedł ze stryjem do swego pokoju.

— Nie przypisuję wcale wzruszeniu rannemu tej choroby, odezwał się niespokojny prezes po chwili — nie powiedziałem mu nic ostrego!...

— Jednakże źle się stało, kłam choć ja wcześniej do niego nie poszedł, odezwał się Julian — mam na sumieniu to wszystko... Wyrwaliśmy go z bytu spokojnego z którym się obył, i w którymby mógł być szczęśliwym, wezwaliśmy w inną przyjaźni do pomocy w inte-

resach, poświęcił się nam całą duszą, wyratował brata, zapomniał o sobie, i za to wszystko w końcu odpłacamy mu gorzej niż obojętnością, bo niewdzięcznością prawie...

Był to ostatni odbłysek szlachetniejszego uczucia w Julianie, które prezes zniszczył kilką słowy zimnemi.

— Słuchaj, rzekł — wszystko zależy od sposobu w jaki się rzecz przedstawia — daliśmy mu dobre miejsce, na którem więcej zarabiał niż na lichej dzierżawie, wprowadziliśmy go w nasze towarzystwo, robił co mógł, ale nie zrobił nic osobliwego. Emil prędzej czy później byłby dojrzał i bez niego... Przecież nie wyrzuciliśmy go na ulicę? Nie zapominaj kto my, a kto on... reszta mu się dopłaci!!

— A! stryju!

— Dajże mi pokój ze swoją filantropją i ideałami! Nic mu się nie stanie, duma obrażona, duma niezdolna zrobiła mu chorobę i gorączkę, puszcza mu krew, dadzą kalomelu i licho go nie weźmie, nie widzę powodu rozpaczania... Dobranoc!

To mówiąc prezes wyszedł udając daleko gorszego i zimniejszego niż był w istocie, gdyż w głębi uczuł boleśnie chorobę Aleksego, której się uważał pierwszą przyczyną. Zamiast pójść spać, cicho skierował się do mieszkania chorego i wywołał Bornowskiego.

— A co?

— A coż, JWpanie, majaczy! gorączka! straszna gorączka! postawiłem mu synapizma... głowa jak w ogniu! od rzeczy plecie...

Prezes wiedziony niepokojem wszedł do środka i stanął we drzwiach drugiej izdebki.

Tuż za nim wsunął się niespokojny Julian.

Aleksy leżał z oczyma otwartymi, kiedy niekiedy niewyraźnemi, szybko z ust lecącemi wyrazy przerywając ciszę, która go otaczała. Z razu nikt ich chwycić i znaczenia domysleć się nie mógł, ale po chwili prezes zbłądł i zatrzęsł się jakby z gniewu — chory po kilkakroć wymówił imię Anny.

31 — Cóżem winien, mówił — musiałem cię kochać? wszakżem nie zdradził Cię nigdy, słowem, wzrokiem, ruchem, niczem! Nikt tego nie wie! Nikt! Ja i Bóg! O Anno! gdybyś wiedziała jak ciężko mi będzie porzucić was, ciebie, i nigdy a nigdy nie widzieć cię więcej, nie słyszeć, i myśleć, że po mnie jak po śniegu zimowym nawet wspomnienia nie zostaną... Wszakżeś to ty była Beatrysa Danta? Laurą Petrarca, natchnieniem wszystkich poetów, marzeniem artystów? Cóżem winien żem upadł przed obrazem przed którym klęczeli wszyscy?? Bóg mi dał trochę tego ognia, przy którego jasności widać serca i dusze... Widzę je całe... i ciebie... tyś anioł Anno!

Prezes odpędził Bornowskiego, sługi, zobaczył Juljana i biorąc go pod rękę wyszedł z nim do pierwszego pokoju rozgniewany, nieprzytomny prawie, trzęsący się z rozjątrzenia.

— Słyszaleś, rzekł — słyszaleś! kocha Annę! śmiał na nią spojrzeć, śmiał ją widzieć, śnić o niej, marzyć, to zuchwalec, to niegodziwiec, to szaleniec! Ludzie posłyszają jej imię, jej imię w jego ustach! Nie! ja go zamknę i nie wpuszczę tu ani Grebera, ani ich... nikogo, niech tak skona! niech umiera! Wolę mieć grzech na sumieniu, niż żeby cień cienia padł na Annę!...

— Ojczy! stryju! to gorączka!... rzekł Juljan.

— Tak! gorączka co myśl tajemną wyrzuciła jak

burza wyrzuca z morza męty i brudy leżące gdzieś na dnie! — Naprółnobyś starał się go uniewinnić... to zuchwalec! to szaleniec! powtarzał prezes w ostatnim stopniu niecierpliwości... Idź ztąd, i zostaw mnie!

Juljan zadrżał widząc pierwszy raz stryja w stanie takiego gniewu, w którym sobą nie władał.

— Gdyby i tak było, rzekł zimno — że pokochał Annę, ani dziwno, ani to grzech z jego strony, wszakże tak to dobrze ukrywał, że nikt się dotąd tego nie domyślił. Zresztą, część tej winy nie spadaż na nas, na ciebie stryju, na mnie cośmy go prawie gwałtem do Karlina ściągnęli... Cóż winien biedny chłopiec?!

— Nie mów mi tego... nie mów, zawołał Karliński — Anna! śmieć na Annę podnieść oczy istocie tak niskiej i ledwie z prochu dźwigniętej!

— Ręczę ci stryju, że nie robiąc z tego dramatu niepotrzebnego, nikt się ani domyśli, ani zrozumie co on mówi; po naszych twarzach mogliby wyczytać chyba, że się coś dzieje niezwykłego i strasznego... Chodźmy ztąd i zostawmy ich jak byli, udawajmy, że uie nie wiemy... Juściż ani go opuścić, ani zamknąć niepodobna; byłoby to jedno, co go zabić... Chodźmy!

Prezes zamyślił się i zmiarkował, że inaczej być nie może, i choć wzruszony, przybrawszy obojętną postawę, wyszedł powoli, polecając chorego Bornowskiemu, którego mijając, rzekł tylko do Juljana tak, żeby był słyszany.

— To ta głupia miłość dla Anny Polkowskiej z Zameczka wszystkiemu temu przyczyną... dowiedział się pewnie, że idzie zamąż za Marszyńskiego.

I w ten sposób odwróciwszy, jak mu się zdawało, podejrzenie, ustąpił do swojego mieszkania, ale niepo-

kój oka mu zmrużyć nie dał.

Anna do późna nie wiedziała o niczem; dopiero któraś ze służ przysłała do niej z nowiną, gdy się już spać kładła, i przeraziła ją opisem od Bornowskiego przejeżdżającym, straszliwej gorączki Drabickiego, ubarwionej jeszcze rozlicznymi dodatkami, które już po dworze biegły, że zrana pokłócili się z prezesem, że miał wyjeżdżać, że cały dzień zamknięty był u siebie, a w nocy znaleziono go bezprzytomnym na łóżku... Anna mocno to uczuła i natychmiast pobiegła sama do Juliana, żeby się lepiej dowiedzieć; zdawało jej się przesadzonym to opowiadanie, a jednak domyślała się, że w niem coś prawdy być musiało.

Juljan chodził zasmucony i zamyślony po pokoju, gdy weszła Anna; przeczuł, czego się dowiedzieć chciała i badająco spojrzął na nią.

— Julku, prawda to? zawołała — że Aleksy śmiertelnie chory? co mu się stało?

— Chory, chory istotnie... nie wiem, prezes zrana trochę ostro się z nim przemówił, miał wyjeżdżać z Karlina; musiał uczuć zbyt mocno... posłaliśmy po Grebera.

Widać było chmurkę na czole Anny.

— Mój Boże! rzekła — jak to ciężko na tym świecie wszystkim się pogodzić z sobą... domyślałam się, że prezes go nie lubi, ale za co? dla czego chce go się pozbyć? znajdziemyż drugiego, co by był zarazem, jak on, pomocnikiem, doradcą i przyjacielem? kto go zastąpi przy biednym Emilu?

— A jednak rozstać się musim — rzekł Julian ciszej, zbliżając się do niej — prezes lepiej widział od nas wszystkich...

I szepnął kilka słów na ucho Annie; ona cofnęła się żywo, zarumieniła i zdziwione oczy zwróciła na brata; na twarzy widać było obrażoną dumę, niepokój jakiś, gniew prawie... Pomimo świętości swojej, uczuła na tem co brat jej powiedział i potrząsała głową.

— To być nie może — rzekła... roi się wam...

— Słyszeliśmy oba... nie ma najmniejszej wątpliwości; prezes jest w największym gniewie, nigdy go takim nie widział...

— Biedny człowiek! — zawołała Anna... ale mógłże do tego stopnia się obłąkać?

— Nie pojmuję — odpowiedział Julian... wszystko to drażni mnie, męczy, trapi, i zdaje mi się, że jak on, zachoruję... Wróć do siebie Anno; widzisz, że nawet zbytku troskliwości okazywać mu nie możesz; ludzie i on sam fałszywieby to sobie wytłumaczyli. Będzie co będzie...

Anna odeszła zmieszana; słowo, które jej pocichu szepnął Julian, bojąc się by go ściany nie usłyszały, dziwne na niej zrobiło wrażenie; zamiast wdzięczności i politowania, uczuła w sercu żal i pierwszy raz obudzona dumę; gniewała się na nieszczęśliwego, dla którego przed chwilą czuła ten rodzaj chłodnej protekcyjnalnej przyjaźni, jaką obdarzamy wierne sługi i ludzi od nas niższych; czuła się obrażoną i upokorzoną, lzy prawie miała na oczach... Miłość ta wydawała jej się śmieszną; zdawało się, że część śmieszności spłynie na nią, a przywykła była uważać ją za największe nieszczęście; gniew na chwilę przytłumił w sercu jej wrodzona litość...

W nocy nadjechał Greber wezwany, i sam poszedł do Aleksego, koło którego znalazł tylko uspiętego i

trochę podpiłego Bornowskiego, zapewniającego słowem honoru, że nie było pięciu minut, jak się troszeczkę zdrzemnął. Jedno spojrzenie na chorego przekonało lekarza o niebezpiecznym jego stanie; gorączka tyfoidalna z zapaleniem mózgu szalonem rozwinęła się w sposób najgwałtowniejszy; nie wiele zrobić było można, wszystkiego wyglądać tylko od sił natury, mających kwestję życia lub śmierci rozstrzygnąć. Dla Grebera biedny ten człowiek opuszczony przez przyjaciół, leżący sam jeden pod opieką napitego oficjalisty, nie bardzo też był zajmującym pacjentem: podyktował chłodno co robić należało, ziewnął, kazał sobie przygotować pokój i posłanie, i poszedł spać z tą zimną krwią, jaką daje oswojenie się z chorobami i groźbą śmierci...

Bornowski pozostał wykonawcą rozkazów, a po wyjściu Grebera, naprzód dla nabrania sił zajrzał do butelki, a dopiero potem do chorego; nie zdało mu się żeby go warto męczyć przededniem i złożywszy na naturę i młodość staranie o Aleksego, sam tylko westchnął nad ciężkim obowiązkiem swoim, zapalił fajeczkę i zdrzemnął się w najlepsze.

Aleksy leżał bezprzytomny...

XII.

Nazajutrz czynniej trochę wzięto się do Drabickiego. Greber po herbacie sam poszedł go zobaczyć, zastapiono Bornowskiego, obawiającego by się nie zaraził, cyrulikiem z miasteczka, nie wiele od niego lepszym i czekano co powie stanowcza przesilenia chwila. Tymczasem Julian nie śmiał dać znać matce, obawiał się jej trochę, posłał tylko po hrabiego Jnnoszę, a ten natych-

miast przybył do chorego... Z chmurną brwią zbliżył się do łóżka, na którem leżał Aleksy i łza zakręciła mu się w oku na widok straszliwie zmienionej twarzy i symptomatów groźnych, jakie w niej wyczytał; Aleksy zdawał się go poznawać... Stary zasiadł przy nim i już go nie odstąpił; ani prezes, ani Juljan nie pokazali się obawiając zaraźliwości choroby; co większa, część zamku, w której leżał Aleksy, rodzajem kwarantanny oddzielono od reszty, i ludzi, co tam chodzić musieli, unikano. Prezes nawet pokilkakroć zapytywał Grebera, czyby Aleksego nie można w karecie odwieźć do Żerbów, ale to jakkolwiek ulegającemu lekarzowi zdało się niepodobieństwem. Ze wszystkich jeden Emil, kilka dni nie widząc swego przyjaciela, cierpiał najwięcej, dopytywał, niepokoił się, i gdy mu Anna znakami oznajmiła chorobę, koniecznie się począł wyrwać do niego... na co nie pozwolono z początku. Ale gdy biedny głuchoniemy coraz bardziej rozdrażniony, koniecznie się tego domagał, prezes nareszcie po namyśle, ruszył ramionami i zgodził się na puszczenie Emila do Aleksego, z tem tylko, aby Anna przestała na jakiś czas widywać brata.

Stary Antoni sprowadził swego panicza do izdebki, w której ułoża Aleksego siedział chmurny stary Junosza... Pierwszy to raz w życiu podobny obraz przedstawił się oczom Emila; Anna jednak przygotowała go do niego — zapuszczone okna, przykra ciemność, powietrze ciężkie, dziwaczna postać starego przyjaciela w sukmanie, na delikatnym Emilu zrobiły duszące, bolesne wrażenie... Usiadł przelekły w nogach łóżka, złożył ręce i zadumał się... oko Aleksego przeczuło go, znalazło i zdawało się poznawać, bo się niespokojnie po-

ruszył na łóżku...

Napróżno później usiłowano odprowadzić głuchoniemego; uparł się z właściwą sobie mocą charakteru, pozostać tu koniecznie, i znakami Antoniemu kazał siostrze i bratu powiedzieć, że nie odstąpi tego, który przy nim tyle ciężkich godzin spędził. Tak więc u łóża Drabickiego stary Junosza i Emil tylko czuwali; Greber, który z prezesem i panem Albertem grał w prefersa dzień cały, pokazywał się kiedy niekiedy z humorem, jaki u kart zaczerpnął i prędko odchodził, za każdym razem zlewając się wódką kolońską i okadzając saletrą.

Nadszedł nareszcie dzień stanowczy, i kryzys wskazała że chory wyżyje; po niej polepszył się stan jego, wróciła powoli przytomność, ale z nią razem gwałtowne pragnienie powrotu do Żerbów, którego się domagał co chwila. Pani Drabicka nic dotąd nie wiedziała o chorobie syna. Junosza dwa razy był u niej i pobożnie skłamał, że Aleksy w dalszą podróż, w której go interes wstrzymywał, odjechał. Byłaby przybiegła do łóża chorego, o którego instynktowo niepokoiła się, sama nie wiedząc przyczyny... Emil płakał i siedział przy nim nieodstępny, co prezesa niecierpliwiło niezmiernie.

Nareszcie na nalegania jego, Greber posłuszny dozwolił, wybrawszy dzień ciepły, w karecie nogą za nogą przewieźć go do Żerbów. Junosza poprzedził ten kondukt smutny i niespodziewany, chcąc przygotować panią Drabickę.

Ujrawszy go po raz trzeci, wyszła naprzeciwko niego stara. — A co Aleksy? — zawołała, czyż jeszcze nie powrócił?

— Jeszcze pozawczoraj — odpowiedział Junosza... ale chory trochę!

— Chory! a czemuż mi o tem nie mówisz? zawołała porywając się matka — coś to ja dziecko, żebyście mi się lękali powiedzieć, co się z nim dzieje? Ja wiem, jak to tam po panach o chorego dbają: nie zabraknie mu pewnie ani doktora, ani lekarstwa, ani jadła i napoju, ale kto tam pilnować, kto go tam podtrzymywać będzie i cieszyć?

— Aleksy jedzie już tu, rzekł Junosza — za godzinę będziesz go pani miała, pokój tylko wyporządzić potrzeba, niech się Jaś wyniesie...

— Alboż tak bardzo chory? badającym wzrokiem i usty drżącemi zapytała matka.

— Był mocno i niebezpiecznie słaby, nie będę tań, odpowiedział stary — dziś jest lepiej.

— A! Chryste mój Jezu! i mnieście! mnie! matce nie mówili!... krzyknęła Drabicka. — Ja czułam że się coś stało... śnił mi się co noc, błądy, straszny, jakby wzywał pomocy mojej!

Chwilę zdawała się przygnieciona i bezsilna, ale nigdy w niej czułość nie zabijała uczucia obowiązku i sił do czynu nie odbierała; rzuciła się zaraz do wyporządzenia pokoju, do slania łóżka, płacząc oczyma, a usty dając rozkazy...

— Tylko mi się pani tak nie obawiaj i nie niepokój, rzekł Junosza po chwili; — byłem przy nim w ciągu całej choroby, nie odstępiałem go ani na krok, był Emil Karliński, był doktor...

— A reszta? a reszta? zapewne ani się dowiedzieli? — zawołała Drabicka... domyślałam się! Teraz go się pozbywają radzi, gdy się dla nich pracą, a może ich

niewdzięcznością zamęczył...

Junosza, który wszystko wiedział, nie otworzył ust: ale instynkt matki zgadywał dzieje tej choroby.

Zaledwie w ulicy pokazał się powóz, Drabicka wybiegła przeciwko niemu, nie jej wstrzymać nie mogło; inni sąsiedzi przychodzili także z ciekawością patrzeć na powolnie wlokącą się karetę.

— Patrz no! patrz! rzekł puszcزając dym z cygara, pan Prysejan Prus-Pierzchowski — odwożą nam pana Aleksego w karecie... To slysze cała historia! zamęczył się, zagryzł... dobrze mu tak, niech by się z panami nie wdawał!!

— Tere fere, podchwycił pan Jacek Ultajski z za płotu — a dla czego to asiudziejowi także chciało się bywać w Karlinie i sam mówileś żeś się tam miał prezentować?

— Ja! — rozśmiał się pan Prysejan, gdybym chciał, tobym był to zrobił! Co waćpan myślisz, przecież takim dobry jak pan Drabicki, ale ja znam panów!

— Cztery konie, forys, żółta landara, dwóch ludzi do przytrzymywania... żebyś wszystko zapamiętał i żonie powiedział! bo się pytać będzie... szepnął do siebie Józafat Butkiewicz...

— Dobrze mu tak! mruczał pan Mamert stojąc w ganku z fajką i poglądając na wolno posuwającą się karetę — ha! a nie chciał sąsiadowi wygodzić i drzewa sprzedać! Otóż to tobie serdeczko przyjaźń z panami!

— A to co? przecierając oczy i wylatując ze spichlerza, w którym był trochę usnął po śniadaniu pan Teodor — co to jest? czego oni tak powoli jadą? kto to? nikt nie wie! I poleciał w kamizelce do Prysejana...

— Nie wiesz co to?

— To Drabickiego tak tryumfalnie odwożą... odparł Prysejan... zachorował, a chorych tam nie potrzebują...

— Aleksego, mówisz? karetą! Cóż to jemu? przepił się czy co? spytał Teodor nie pojmując, by na świecie inny nad butelkę mógł być powód słabości. — Pewnie się przepił! mówił dalej do siebie — miał klucze od starki, to niebezpieczna rzecz! ale wygodna! pił, pił i zapił się... Ale głupiby był, żeby do Żerbów choć baryłki z sobą nie wziął... jak pozdrowieje dowiem się... Paradna starka!!

Wyleciała i pani Celestynowa z Madzią na ulicę.

— Panie Prysejanie! zawołała... co to jest? kto to pojechał.

Prysejan skłonił się ale trzymał zdaleka...

— To Drabickiego powieźli! — rzekł krótko...

— Jak to powieźli? umarł?

— Tyle że żywy! ale bardzo chory!

— A! jaka szkoda, tak był wyładniał, tak dobrze wyglądał! co to się mu stało?

— Słyszę, rzekł zbliżając się do wdowy Ultajski, zwyczajnie jak z tymi panami: prezes go zbesztal, ten to wziął do serca; na co takie rzeczy brać do serca! at! młokos — i jak padł tak dostał *ptyfusa*! Ot co! A ja go przestrzegałem co Karlińscy; gadają słodziutko, ale pazurki mają!!

Gdy tak sąsiedzi gwarzyli, Drabicka szła przy powozie z okiem suchem i piersią wzdętą wzruszeniem, słowa nie rzekła; łzy jej się spiekły na oku... rada była co prędzej ujrzeć syna i nie śmiała...

Cofnęła się, gdy go ujrziała... matka tylko poznać go mogła! Całą młodość i siłę zabrała jedna choroba; wypelzła głowa, wpadły policzki, zgasły oczy, skóra stała

się żółtą, wyraz twarzy zmienił się zupełnie; inny to był człowiek, cień Aleksego, o lat dwadzieścia od niego starszy.

— O mój Boże! krzyknęła Drabicka łamiąc ręce — co oni mi z niego zrobili! Aleksey mój, Aleksey! A ja nie nie wiedziałam, kiedyś ty walczył ze śmiercią!

I stara wpadła w gniew okrutny.

— A! to pańska litość nie dać znać matce, kiedy dziecko jej kona? co to oni mnie mieli za taką słabą istotę jak sami? To niegodziwość! to zbrodnia! jać przecie mam siłę spełnić co Bóg przykazał! a tam nie było przy nim jednej twarzy przyjaznej, jednej dłoni serdecznej!

— Mylisz się matko kochana, rzekł Aleksey — był Junosza, był pocziwy Emil nieodstępny...

— Tak! i zastąpili ci matkę?

— Na Boga, moja Jejmość, wacpani swoją gwałtownością syna zabijasz! cicho! — przerwał Junosza — spokojności mu potrzeba nie przypomnień bolesnych...

— Bóg zapłać! dobrze mówisz stary, wstrzymując się szepnęła matka — ale żeście głupio zrobili to głupio... bo ja nie dziecko... i takich ceremonji nie rozumiem, i to tajenie mnie oburza. Udzie moje miejsce, tam ja być powinnam!

Zniesiono powoli chorego na przygotowane łóżko, a gdy się Aleksey obejrzał i znalazł znown samotny w tym pokoiku, w którym tęskny ale spokojny przebył pierwsze lata pracy, łzy puściły mu się strumieniem; ścisnął rękę matki i brata... wzrokiem podziękował Junoszy.

— Lepiej mi tu, rzekł — czuję, żem pod moim dachem, że mi tu i jęknąć i zabołec i odezwać się wolno z każdą myślą moją... dzięki wam... Wyzdrowieję.

Przy staraniu jednak i największej opiece, Aleksy nie rychło i powoli przychodził do dawnego stanu; choroba, mimo młodości, zostawiła ślad na całe życie; znać było, że się ze śmiercią pasował i objęcia jej wypiętnowały się na nim. Młodość, świeżość, siłę pozostawił za wrotami; wstał starcem prawie drżącym, z obnażoną czaszką, z wpadłymi oczyma i co gorzej, zabity na duszy... Tylko miłość ku Annie, jak sen gorączkowy, długi, z za mgły występowała przed niego z żalobną twarzą i krzyżem na piersi. Kochał jeszcze, ale to uczucie zmieniło się w idealne jakieś rozmarzenie, gorzkim strute wspomnieniem... widział ciągle Annę, anielską Annę, uśmiechającą się do Alberta i podającą mu rękę... Wszyscy ci ludzie, do których tak był przywiązany, z ułomnościami ludzkimi i lekkością swoją, w nagiej prawdzie stali przed nim... znał ich lepiej, i litował się raczej niżeli nienawidził. Julian i Pola, prezes, obejście ich z Aleksym, do reszty odkryło ułudne osłony, jakimi ich ubierał z początku; wiedział, że na te słabe istoty rachować, że się na nich oprzeć nie można, że one przede wszystkim szukają zabawy, roztargnienia i siebie mając za ognisko, resztę braci w stosunku tylko do swoich potrzeb, garną do siebie lub odpychają. Świat ten lepszy, piękniejszy, pozorniejszy, teraz mu się malował w tem samym świetle co Żerby i sąsiedzi starego dworu; tu tylko egoizm był otwartszy, słabość widoczniejsza; Adam obnażony, tam chodził w szacie pożytecznej, szacie wiotkiej, która zakrywała ułomność, ale nie wytrzymywała gwałtowniejszej próby i pękała pod ręką namiętności, interesu i cierpienia.

Wstał z łoża wytrzeźwiony, dojrzałszy, chłodniejszy, skończywszy chorobą tę pierwszą część żywota, w któ-

rej jeszcze wierzym w anioły, w wyjątki, w doskonałość; szczęściem, nie wpadł w drugą ostateczność i rozum zatrzymał go na granicy, z której świat wydawał mu się jakim był, dziwną mieszaniną popędów ku dobru i słabości, marzeń i prawdy gorzkiej, cnót i upadków, poezji i prozy... kału i złota, ciała i ducha... dramatem i walką dwóch pierwiastków z kolei strącających i podnoszących nieszczęśliwego człowieka, który jest ich igrzyskiem.

XIII.

Nie rychło przyjechał do Żerbów Julian, który się długo i niechętnie, czując do winy, wybierał i wybrał nareszcie zimny, grzeczny, ale nie ten już, co go Aleksy spotkał w gospodzie przed niedawnym czasem... Spodziewał się on znaleźć Drabickiego upokorzonego, obawiał, by nie zażądał powrotu do Karlina, lękał wymówek od starej matki, ale pojęcie i domysły z jakimi jechał, zupełnie go zawiodły.

Aleksy przyjął go chłodno, grzecznie także, słowa nie mówiąc o przeszłości z pewną dumą uczciwą; sam zaraz zapowiedział mu, że zdrowie nie pozwala dłużej zająć się interesami Karlina, które inny zapewne lepiej pojmie i poprowadzi. Stara Drabicka ani słowa nie rzekła do Juliana, przywitała go z godnością, i obojętna odeszła; nie odkryła ani żalu jaki miała, ani urazy, którą serce wzbierało. Przyszło do rachunków, Julian przywiózł pieniądze z porady prezesa... gdy o nich wspomniał Aleksy zarumienił się, ale żywo mu przerwał.

— Nie zgodziliśmy się z panem prezesem na sposób, w jaki poprowadzić było potrzeba interes z sukcesorami

Szai: prezes mi powiedział, byłeś świadkiem, że nadto hojny był z cudzej kieszeni, pieniądze te przeznaczyłem na zapelnienie zrobionego wam uszczerbku, i nie przyjmę ich...

Juljan zakrzyknął, Drabicki go wstrzymał.

— Ani słowa, rzekł — znasz mnie, pieniędzy nie wezmę. Prezes nie zaprzeczy temu co powiedział, a ja nie odstąpię od tego com postanowił. Zróbcie z tem co się wam podoba, ja grosza nie wezmę jak mnie żywego widzisz, uczciwem słowem zaręczam...

Juljan był zakłopotany mocno, ale nie wiedząc co począć, gdy nadszedł Junosza, wyrwał się do pani Drabickiej, sądząc, że z nią łatwiej to potrafi zrobić. Stara spojrzawszy mu w oczy poznała, że w tem coś być musi.

— Ja tych pieniędzy wziąć nie mogę, zawołała — to do Aleksego należy.

— Aleksey przez zbytek jakiejś delikatności...

— Lndzie ubodzy powinni być delikatni aż do zbytku, przerwała Drabicka. — Kiedy Aleksey to zrobił, widać czuł, że był powinien... I my mamy coś droższego od pieniędzy, dodała — to uczucie godności naszej.

Juljan uczuł się prawie upokorzonym i wymknął się znowu do Aleksego; chciał koniecznie z rozkazu prezesa, obawiającego się, by mu ta historia u szlachty do marszałkostwa gubernjalnego nie szkodziła, skończyć rachunek z Drabickim; spróbował jeszcze użyć za pośrednika Junoszę, ale przed tym potrzeba się było wypowiedać całkowicie.

— Widzisz waćpan, rzekł ów hrabia w sukmanie — macie sobie wiele do wyrzucenia względem obejścia waszego z Drabickim: takie rzeczy pieniędzmi się nie

placą. Wieknista to wasza jedna i tak sama omyłka, że wszystko chcecie za grosz kupić; pamiętacie jeszcze podaniowo tę szlachte, któraście przez lat dwieście robili, wy i my, zniżając na platue i zależne sługi do spraw politycznych. Od wojny Kokoszej, w której raz ostatni niezależność szlachecka odezwała się oburzeniem i groźbą, do pijanych i szalonych sejmików Stanisławowskich platnemi szablanmi rozwiązywanych, wciąż pracowaliśmy na ujarzmienie braci, jak ci sami bracia od dawniejszych jeszcze czasów jarzmili kmieciami... Ale i szlachcie dziś, i jutro kmieć poczną musza godność swoją i człowieka nam równego w piersi swojej. Obraziliście Drabickiego, a chcecie zapłacić mu grzywny; pogardził głupstwem waszem i przebaczył je, ale ani on, ani nikt z tych co go kochają, zasmolonego grosza się nie tknie.

— Panie hrabio! przerwał Julian — boli mnie, że nas tak rozumiecie... zresztą prezes...

— Bardzo go szacuję, tego waszego prezesa, rzekł Junosza, ale nie widzę sposobu zmniejszenia słowa obelżywego na pieniądze... Drabicki ich nie weźmie i chwałę go w tem; z głodu nie umrze, ubóstwo zna, a dalipan nie tak z niemi ciężko jak się wam paniczynom wydaje!

Z tem odjechał Julian; stryj czekał go niecierpliwie w ganku, gdzie podaną herbatę piękna Anna nalewała dla gości, dwóch panów Zamszańskich i Gerajewiczów rodziny. Odeszli trochę na bok.

— A co? zapytał prezes uśmiechając się... zapłaciłeś?

— Nie...

— Jakto nie? dla czego?

— Drabicki powiedział mi wprost, że te pieniądze przeznaczą na interes z Szają, który niekorzystnie

ukończył.

Stary Karliński zapłonał.

— Trzeba było...

— Robilem co tylko mogłem, ale z tą ich dumą szlachecką nie ma sposobu, a stary Junosza prawie mnie wylajał.

— Cała rzecz, uśmiechając się dorzucił prezes, że dwa razy tyle zapłacić będzie potrzeba.

— Nie, rzekł Julian — za to mogę ręczyć, że nie nie wezmą; Drabicki ma wiele charakteru...

— Jednak my tak usług jego przyjąć nie możemy darmo! niech sobie oddadzą ubogim...

— Musimy milczeć i zgryźć to, za jedno słowo twoje kochany stryju...

— Ale cółem powiedział tak strasznego! przerwał stary — na honor, nie pojmuję z kąd im się wzięła ta drażliwość zbyteczna. Ani słowa! jam temu wszystkiemu winien... ja... zostaw mi więc wyszukanie sposobu, jakby na to poradzić...

— Prosiłbym cię stryju o jedno, żebyś właśnie nie myślał o tem...

— Idź-no do Gerajewiczów, przerwał prezes niespokojny, idź do panny, a złóż to na moją głowę. Albert jakkolwiek zakochany w Annie, może się podobać Zeni, toby był rywal niebezpieczny.

I Julian poszedł posłuszny...

Ten także, jak Aleksy chorobą, dojrzał tą miłością gwałtowną, która się tak dziwnie skończyła, brakiem charakteru z jego strony, ofiarą nad siły biednego dziewczęcia. Ostatek poezji wylał Julian na tę namiętność i wierzył w jedno, w użycie życia, w potrzebę dobrego bytu, który sobie zapewnić należało, nie zwa-

żając na serce... Rachował teraz i starał się o Zeni wesolo prawie, znajdując ją bardzo znośną przy miljonach, a miliony potrzebnemi wielce dla Karlińskich.

Albert tymczasem zbliżał się co dzień do Anny, której serce uderzyło, zwiedzione doskonałą grą młodego aktora, umiejącego przybrać wszelkie role potrzebne; a prezes patrzył na to obojętnie, nie śmiejąc się Annie sprzeciwiać, zresztą jak ona upatrując w Albercie Zamszańskim nadzwyczajne przynioty, szczególnie, jak mówił, dystynkcje rzadką i dobry ton wyższego świata. Co dzień więcej, co dzień bliżej byli z sobą; Anna pomsutniała, zmienila się, a wzrok matki z przestрахem śledząc postępy tej choroby serca, badał zarazem prezesa, od którego zależała przyszłość dziecięcia i jego szczęście.

— Bądź cò bądź, mówiła w duchu pani Delrio, choćby mi przyszło narazić się na nowo prezesowi, jeśli ona go kocha, ja ich pożenię!

W Szurze tymczasem dni płynęły jak piasek w klepsydrze, równo, po cichu, jednostajnie: pan Atanazy tylko tęsknił za Justynem i często wyrывał się z przechadzką do Hor, aby posłuchać swego poety, do którego myśli szmeru przywykł był jak do szumu drzew ogrodu... Z Karlina mało go dochodziło wiadomości, i nie rychło powracający ztamtąd ksiądz Mirejko, zwiastował razem nowin mnóstwo. Starzec był dosyć obojętny na to, co się na świecie działo; wypadki nie obchodziły go wcale, jeśli nie miały moralnego znaczenia i nie wiązały się z przemianą stanu duszy; zajmowali go jednak Karlińscy, nad których upadkiem bolał, nie umiając mu zaradzić inaczej, tylko modlitwą i łzami.

— Ale to mości dobrodzieju! zmian się wiele zwia-

stuje w Karlinie—odezwał się ksiądz Mirejko, od zupy poczynając gawędę.

— No! a co tam takiego? zapytał stary zadumany...

— Naprzód, tego Drabickiego, który tam mocno chorował, prezes słyszę skutkiem jakiegoś nieporozumienia odprawił.

— Szkoda, rzekł pan Atanazy — widzi mi się, że się nie poznali na człowieku... ale to zresztą naturalna... dla pewnych ludzi, potrzeba miary oddzielnej; prezes pocziwy cały świat małym swoim łokciem chce mierzyć i chybia... Chorował, powiadasz jęgoomość?

— Na tyfus, i tylko co nie umarł; Bornowski mi szeptał, że w chorobie dziwadła wygadywał, jakoby go posądzali, że się w pannie Annie zakochał.

Stary podniósł oczy ciekawie...

— Biedny chłopiec, rzekł z boleścią — biedny! do czego mu było patrzeć na słońce, żeby oślepnąć!

— Zwyczajnie młody, odparł ksiądz Mirejko. — No, a pan Julian, z porady prezesa, stara się o tę miljonową Tatarkę, pannę Gerajewicz!

Pan Atanazy posunął się aż z krzesłem i syknął...

— A! prezes! prezes! państwo całe zasadza na groszu!! zawsze ten błąd! zawsze jedna omyłka, która gubiła nas i gubi! Julian przepadnie! Jakto! nie myśli o przyszłości, o obowiązkach, a chce się żenić? I z kim? A Emil?

— Emil od wyjazdu Drabickiego zasłabł znown i niezmiernie posmutniał; wyrывa się do niego, a nie dają mu nawet do Żerbów dojeżdżać.

— Niechby mu choć tej dozwolili pociechy! Tam go ciągnie serce... upośledzony, najlepiej rozumie swój obowiązek, zwraca się ku swemu dobroczyńcy... A Anna?

mów mi waćpan o Annie.

— A i to nowina, przyjechał tam z zagranicy jakiś młodziak, który się slysze o nią stara? prezes proteguje...

Oburzył się na to pan Atanazy i pochwycił od stołu.

— Co mi waćpan mówisz? bezemnie? bez porady mojej? któż to taki? kto się śmie starać o Annę? A ona? mów-że jegomość, widzisz, że to mnie niepokoi śmiertelnie?

— A co ja panu powiem, zwyczajnie plotki kredensowe; toż ja tam do rady i do rozmowy nie należałem, a tylko tyle wiem, co dwoje oczu złapało a ludzie mi powiedzieli.

— Ludzie prości czasem widzą najprościej i najlepiej, rzekł pan Atanazy — zwłaszcza jeśli ich złe uczucie niechęci nie obłąka; cóż tedy? Wiesz jak kocham Annę? Kto to taki? jak wygląda?

— Krewniak pana Piotra Zamszańskiego, elegant z zagranicy!

— To być nie może! Zamszański! — zawołał pan Atanazy — prezes by na to pozwolił! Ale Anna...

— Właśnie gadają, że panna go takim okiem widzi jak nikogo dotąd i bardzo...

Zalał ręce Karliński.

— Anna! Anna! święta i anielska istota... i ta! i ta! oddadzą ją jakiemuś zwierzęciu co swą namiętnością ją skala... ofiara! Nikt jej oczów nie otworzył. Jej życie inny cel miało... Ona jedna mogła się podnieść wyżej, aż do ofiary, aż do świętości, aż do prześladowania Boga za grzechy dziadów... Nie mów mi nic już, nie chcę slyszeć, to istotnie kredensowe są plotki, to być nie może.

— A na cóżeś mnie pan za język ciągnął? odparł

ksiądz Mirejko — ja tego z palcam nie wyssał, ale z góry uprzedzałem, że bałamuctwa pleść będę...

Pan Atanazy słowa nie rzekł, wstał, począł się przechadzać, i posłał natychmiast do prezesa. Zwyczajem jego było nigdy nie pisywać listów, ustne dawał polecenie tylko i tym razem wezwał brata, żeby jak najprędzej przybywał do niego. Prezesa szukali w jego domu, potem w Karlinie, i nazajutrz przyjechał do Szury, domyślając się po części o co chodzi.

Dwóch ludzi, dziwniej z sobą sposobem widzenia nie zgadzających się, na świecie podobno znaleźć było trudno; prezes zwał Atanazego arystokratą w Chrystusie, Atanazy prezesa niekiedy — starym wiatrakiem...

Widywali się rzadko bardzo, byli z sobą na zimno i jeden z drugiego żartował po cichu między swymi.

Pan Atanazy, który prosto zwykł był iść do celu najkrótszą drogą, pochwycił zaraz brata pod rękę i wyprowadził do ogrodu.

— Co to ja słyszę? zapytał — co się tam u was dzieje? czy ja już nawet do porady, i choćby dla ceremonji nie przydałem się wam na nic?

— Ale bo, kochany bracie, odparł prezes — zbyt podobno zajęty jesteś swoim zbawieniem i sprawami duszy, żeby cię ziemskie nasze kłopoty obchodzić miały.

— Modłę się i pracuję za was wszystkich, rzekł pan Atanazy — wyście po szyję w sprawie lichej, ja za was w pługu... wy patrzycie z ziemi, na której leżycie, ja...

— Ale dajmy pokój deklamacjom, panie bracie, odpowiedział prezes — ja to już wszystko słyszałem.

— Szkoda, że o tem myśleć nie chcesz... Raczcież mi choć powiedzieć, co tam za nowe projekta macie, o których się od obcych dowiaduję?

— Żadnych zdaje mi się... prócz ożenienia Juljana...

— Ożenienie Juljana! Już myślicie o tem? A cóż zrobił? do czegoście go przeznaczyli? jaki cel wskazałście dla niego? Przecież Karliński darmoby żyć nie powinien, i nie dość było wychować go, wypieścić, zepsuć, ożenić i nauczyć, by używał nie myśląc?...

— Juljan może być użytecznym społeczeństwu tak jak jest, nie porywając się do rzeczy niedostępnych dla siebie, to dziecię słabe... My się, bracie kochany, nigdy podobno nie zrozumiemy dobrze; ja muszę rzeczy widzieć jak są, i twojego duchowego elementu do nich nie mieszam.

— To źle.

— Ale za to rachuję ściśle...

— Rachunki myślą, gdy w nich rzeczy duchowych nie ma...

— Inaczej nie umiem, a robię co mogę; Juljan ma mało, żenię go z milionową Gerajewiczówną...

— Juljan ma mało! ale niech zrobi wiele! niech pracuje! ubóstwo nie kała; z bogactwem nie każdy się obejść, nie każdy go użyć potrafi... Zrób z niego człowieka i nie troszcz się o grosz... grosz Bóg daje, gdy widzi w czyjem ręku jest potrzebny...

Prezes się rozśmiał.

— Kochany bracie, nie ma sposobu, byśmy się porozumieli; zniż się do mnie, zstąp trochę na ziemię.

— Lepiej-że się ty podnieś, zyszczesz na tem, panie bracie. A Anna! któż się tam stara o Annę?

— Jeden z najznakomitszych młodych ludzi, jakich mi się w życiu spotkać zdarzyło... Albert Zamszański.

— Boję się, że go waćpan tak chwalił...

— Dziś tu będzie, to go poznasz... przyjadą po

południn.

— Bardzo mn rad będę... bo dla Anny! dla Anny wymagać będę wiele...

— I ja nie zadowolę się małym, ale ten młody człowiek...

— No! zobaczymy go przecie.

Kilka razy jeszcze probowali z sobą mówić dwaj bracia, ale zejść się nie mogli; prezes przywykł był nigdy się nie dźwigać wyżej nad ziemską i materialną rachubę, pan Atanazy jej nie rozumiał; jeden się uśmiechał, drugi oburzał i niecierpliwil. Przemęczyli się tak do poobiedzia, gdy pan Piotr z synowcem nadjechał. Pospiesznie na ich spotkanie wyszedł gospodarz i oczy wlepił w pretendenta Anny tak badawcze, tak nielitościwie przenikające, że mimo pewności siebie, Albert zmieszać się musiał pod tem jasnowidzenia wzrokiem...

— I to ta doskonałość! i to mąż dla Anny — intuicyjnie przejawszszy go do głębi, odezwał się Atanazy do prezesa — to lalka doskonale wyczczona, w której ducha i serca nie pytaj, gęba stanie za wszystko!...

Prezes nie odpowiedział; Albert ochłonawszy, po swojemu usiłował się, zastosowując zręcznie do znanych mu pojęć pana Atanazego, przypodobać starcowi. Ale tu nie tak szło łatwo: człowiek ten wiek cały strawił bijąc się z myślami, ułudzić go paradoksem, obalamucić hipotezą, zabłysnąć mu dowcipem nie było podobna; rzuconą ideę chwycił i rozbierał, wciągał w analizę, zmuszał do tłumaczenia, zadawał pytania i nie dozwalał z nich lekką wykręcać odpowiedzią.

Pan Albert zwykle tak śmiały i bogaty w zasoby, tu wkrótce zmieniając strategję, z koryfeusza stał się admiratorem pana Atanazego, usiłując go wziąć po-

chlebstwem, potakiwaniem, podnoszeniem jego myśli... Jak tylko go do tego doprowadził, starzec jakby już dna dostał, zamilkł i dalej nie badał; znał człowieka, pierwszy rzut oka go nie zawiódł...

— Sluchaj waćpan, rzekł do odjeżdżającego prezesa—to papuga, pióra ładne, gada dobrze, ale wolalbym prostaka, u któregobym coś dobył z pod serca; tu w piersi pusto... lalka, mospanie! lalka!

— Anna go kocha! rzekł zwycięsko prezes.

Pan Atanazy zbladł, załamał ręce, i ucie nie mówiąc dał im odjechać.

XIV.

Powoli wracało zdrowie Aleksemu, a z niem tęsknota za Karlinem; czas, który tam przebył, nadto głęboko wyrył się w jego sercu, by żał miał zatrzeć przywiązanie. Aleksey uniewinniał wszystkich, obwiniał siebie tylko, a gdyby nie wstyd, byłby powrócił do Emila, do Anny, na służbę, na poniewierkę, byleby mógł żyć znown w tej atmosferze, do której piersi jego przywykły.

Napróżno Junosza gderząc po cichu, matka z czułością, wywołaną cierpieniem syna, chcieli go zwrócić do pracy, do zajęcia gospodarstwem, do pierwszego życia, nic mu tu nie smakowało, a boleść była tak głęboka i tak żywa, że o niczem prócz o sobie myśleć nie dozwalała.

Aleksey całe dnie przepędzał nieruchomy, podparty na rękach, w ogródku z kądem drzewa Karlina widać było i część starego zamku, myślą gonił za Anną, zgadywał co robią, wiedział godziny, domyślał się zajęć, tęsknił

za Emilem, za Julianem, za prezesem nawet, a tu mówić o nich nie miał z kim, bo Junosza milczał, a matka się oburzała... Jednego dnia przyszła mu na myśl Pola, Justyn, i nagle zrobił projekt pojechania do Hor; nie wiedział co się z nimi działo, a oni go obchodzili, bo należeli do Karlina i jakimś węzłem łączyli się z ukochanymi.

Matka, obawiając się by nie pojechał do Juliana, nie wprzód zgodziła się na to, aż jej Aleksy dał słowo, że nie wstąpi nigdzie więcej, i Parfenowi zakazała, by panicza choćby mu i kazał do Karlina nie wiozł. Dla tem większego bezpieczeństwa, wybrano drogę na prost przez lasy do Hor wiodącą, gorszą, niby krótszą, ale miasteczko i zamek omijającą zdaleka. Pomimo tych wszystkich ostrożności, jeszcze pani Drabicka nie rada wyprawila syna, i całując go w głowę na odjeźdźnym szepnęła mu.

— Jak mnie kochasz serce, nie będziesz w Karlinie.

— Nie będę matko, nie będę, proszę cię uwierz mi i bądź spokojna.

— No! tak dobrze! niechże cię Bóg prowadzi i powracaj mi prędko.

Aleksy pojechał. Parfen, stary nasz znajomy, zawsze wesół i gadatliwy chciał go przez drogę bawić opowiadaniem, ale na próżno się wysilał z różnych stron zagadując, Aleksy mu tylko pół słowy i westchnieniem dawał znaki życia.

— Jakto jęgo z nóg zwałilo! mówił w duchu chłopak — inny człowiek! bywało i śmieje się, i pożartuje, a teraz jak z kamienia nic nie dobyć!

Może skutkiem tej dobrej chęci ubawienia pana, Parfen choć dosyć dobrze znał okolicę, w lesie zabłądził;

przez punkt honoru chciał koniecznie sam trafić na drogę i tak się upłatał, że wieczorem dopiero zobaczyli Hory. Słońce już było zaszło, mrok z rosą padał na okolicę lesistą, głębokiem okrytą milczeniem; coś smutnego, żalobnego wiało od tego obrazu nadchodzącej nocy, ciemności i uspienia... Aleksey przyglądał się ciekawie ustroniu zaszytemu w puszcze i przypominającemu mu Szurę, gdy wózek zatrzymał się przed gankiem; ale żywa dusza nie wyszła ze dworu znać nieprzywykłego do gości, psa uawet nie było w dziedzińcu, coby szczekaniem obudził ludzi.

Obejrawszy się po starych drzewach, Aleksey powoli wszedł do pokojów, w których nikogo nie znalazł; w trzecim dopiero przed niemym fortepianem siedziała biedna Pola, z zwieszonemi rękoma, i podniósłszy głowę krzyknęła na widok Aleksego, którego poznała, ale sądziła widmem z grobu powstałym, tak się zmienił i postarzał.

Przez drzwi otwarte ku ogródkowi i stawowi widać było siedzącego Justyna, zamyślonego tęsknie i przypatrującego się lasom w dali, czy brzaskom zachodzącego słońca... jeszcze gdzieś po niebie rozprysniętem złotem bryzgami.

Na krzyk Poli, Justyn się odwrócił, wstał, wszedł żywo jakby się kogoś innego spodziewał i zbliżył z czułością do Aleksego.

— To ty! zawołał — co ci się stało? — tak jesteś zmieniony!

Poli łączy się w oczach kręciły; zgadywała co tak biednego zmienić musiało; ale i ona, i ona cieniem już była wesołej dziewczeczki pełnej życia i uśmiechu, która skakała po ogrodzie Karlina. Wychudła, z oczyma za-

padlemi i gorączkow~~ym~~ świecącemi blaskiem, była jak kwiat uwiedły od skwaru, na którym są jeszcze barwy życia i siła poranku, nagle zwarzone i obumierające nie brakiem wewnętrznych zasobów, ale od tego co żywić go i utrzymywać miało. Smutna, zobojetniała wpatrywała się w Aleksego, czytając na jego twarzy własne dzieje.

— Biedny, zawołała po chwili — i ty! i ty! musia-
łeś być z kolei zabitym, jak wszyscy co się do nich
zbliżyli.

— Ja chorowałem, rzekł Aleksey — nie wiem jakim
cudem powróciło mi życie... i... porzuciłem Karlin...

Lza zakręciła mu się w oku.

— Nie nie wiemy, alem to przeczuwała, myśląc o
tobie przyjacielu, odezwała się Pola; — tak się wszystko
kończy, tak się i twoje szczęście skończyć musiało.

Aleksey spojrzał na Justynę; i ten już nie był wczorajszym poetą, co wierzył w pieśń swoją i przyszłość, cierpienie przygięło go i przybiło; blady uśmiech miał na ustach, a powiekę mokrą, a wzrok błędny...

— Tyś o nas nie zapomniął, niech ci Bóg zapłaci,
rzekł — siadaj i mów naprzód, coś przecierpiał; cho-
roby tak nie przychodzą w życiu ludzkim... wielkich
wstrząśnień zawsze przyczyną jest dusza... gdy ona silna,
ciało posłuszne jej nie może cierpieć i wytrzymuje
wszystko, dopiero z upadkiem ducha obala się jego
siedziba...

— Nie nie wiem i nic o sobie mówić nie będę, rzekł
Aleksey — przyjechałem was zobaczyć, a nie swój smu-
tek wam przywieźć... jednego wieczora straciłem przy-
tomność, nie rychłom ją odzyskał, i wstałem jak mnie
widzicie, starcem złamanym chorobą...

— Co się dzieje w Karlinie? — spytała Pola nie-spokojnie.

— Ja dawno, dawno już tam nie byłem, odpowiedział Drabicki; — rozdzieliliśmy się — dodał smutnie, nie widujemy więcej...

Justyn odszedł powoli, niechcąc przeszkadzać rozmowie żony, której oczy badały Aleksego, a usta otworzyć się nie śmiały; poczuł, że przy nim biedna Pola kępować się będzie i chciał jej oszczędzić tej walki — pocziwy.

— Mów szczerze, mów otwarcie, mów, dodała siero-
ta. — Justyn wie wszystko, nie robiłam przed nim ta-
jemnicy, wie kogo kocham i lituje się nademną... Mów
o Julianie.

— Cóż chcesz żebym ci o nim powiedział? chyba że
się bawi i żeni — odparł Aleksey smutnie.

Pola rozśmiała się gorączkowo, ale spytała zimno:

— Z kim? wszak bogato?

— Z Zeni Gerajewiczówną?

— Mówią, że wielka muzyczka?

— Nie wiem, nie znam...

— A Anna? wpatrując się pilnie w Aleksego spy-
tała Pola — Anna?

— Anna... usiłując pokryć wzruszenie, rzekł młody
człowiek, — Anna idzie za mąż za...

— Alberta? nie prawdaż? przeczuwałam to! dorzu-
ciła Pola — serce jej uderzyło nareszcie, kocha!!
szczęśliwa!...

Wzięła za rękę Drabickiego i dodała wzruszona: —
Przyjacielu! przyjacielu! ktoś z nas odgadnie dla czego
Bóg dał niezasłużone szczęście jednemu, a niepojęte próby
na drugich zsyla?... Pan Atanazy mówi, że wszystko

jest sprawiedliwym... tajemnica naszych losów na innym się świecie odkryje... Bez tego żywota, dopełniającego mizerną dolę naszą, nicby pojąć nie można i z rozpacz potrzebaby się obłąkać... oszaleć... Widzę że cierpisz jak my, że wleciesz za sobą kajdany... radabym ci ich ulżyć... spojrzysz w niebo... na tej biednej ziemi, gdy zagasną mary młodości, nic nie ma! nic... wielki cmentarz wszystkiego co święte, piękne, co było ukochane... Ręka niewidzialna odsłania przed nami kryjące się w nim kości i popioły, i w trumnach widzimy z kolei: miłość naszą w białym całunie i zielonym wianku, wiarę w ludzi, nadzieję w życiu, przyjaciół... pomarłych, zginiętych, zczerniałych i niemających nawet powstać już w dzień wielkiego zmartwychwstania. Na każdym z tych grobów kwitną lilje dla młodych pokoleń, dla nas niewidzialne; na każdym czytamy straszliwe: *Na wieki!* a zamiast *Dies irae*, śmiech szyderski wieje nad czarnem cmentarzyskiem...

To powiedziawszy, Pola odwróciła się nagle by ukryć łzy swoje i rzuciła się do fortepianu otwartego; ręce jej z gorączkową niecierpliwością dotknęły niemych klawiszów i z szaleem zagrały... Co? a! tego walca Strauss'a, któremu ktoś na szyderstwo dał napis: — *Tańcem życie, życiem taniec...*

— Nie graj! na Boga! nie graj tego! zawołał Justyn powracając z ganku, wiesz jak to ci szkodzi; Polu, droga Polu... ja cię proszę...

I umilkła muzyka, a w tej chwili wniesiono światło i Justyn siadł z nimi, usiłując odwrócić rozmowę na mniej smutne przedmioty.

Pola milczała, wszystko już co miała wylała z duszy; słuchała tylko opowiadania Aleksego i przybierała

pozór spokojny i obojętny, bo oko męża nie schodziło z niej na chwilę; a gdy Drabicki zamilkł, szeptała z cicha...

— Mów jeszcze... mów o nich jeszcze...

Tak długo w noc, oswoiwszy się z sobą i wylawszy pierwszą boleść, dzielili słowy smutnemi; Aleksey chciał od Justyna pieśni, dopytywał go o dawne pomysły i plany, ale próżno było w piersi śpiewaka, całą ją zajął ból jeden, dozuany zawód i litość wielka. Nic go już nie obchodziło jak dawniej, świat, lud, natura, dzieje, zapomniał ich dla biednej Poli, gasnącej w oczach jego.

XV.

W Sytkowie panował wielki niepokój z powodu starania się Karlińskiego o Zeni; jego nadskakiwanie rodzicom i pannie codzień było widoczniejsze, a los jedynego dziecięcia mocno obchodził państwa Gerajewiczów, którzy dlań marzyli świetną przyszłość. Imię Karlińskich, ich stosunki, majątek nawet na oko wielki jeszcze, i te szczątki światłości tak bijące w oczy, wszystko pociągało ku nim: wszakże pan hrabia Gerajewicz nie był bez obawy, słyszał o długach, wiedział że od kilku pokoleń tracili Karlińscy powoli, że prezes był w dość ciężkich interesach, pan Atanazy w gorszych jeszcze i lękał się by Julian nie poszedł za ich przykładem. Żona była otwarcie za Karlińskimi, chociaż jak utrzymywała, Zeni nadto jeszcze była młoda, Julian także, i chciała z jego strony więcej dowodów czułości; ale te rodziców narady rozbijały się o wolę dziecięcia rozpieszczonego, samowolnego i już zajętego pięknym chłopakiem. Bytność w Karlinie, powaga tego starego

dworu, pańskość przyjęcia, ślady magnactwa i starożytności domu silne wrażenie zrobiły na umyśle Zeni; podobало się jej w duchu być panią tego grodu i mieszkać na zamku, Julian jej był miły i nie wahała się okazać mu, że go ochoczo przyjmuje. Karliński całkiem zapominając o Poli, dał się ująć wejrzeniu, wdziękowi młodości i nprzedzającemu uśmiechowi Zeni, zapragnął i zdawało mu się że kocha. Od tej chwili surowy sędzia co się tak zgrabnie wyśmiewał z Gerajewicza, z jego pretensji, z muzykalnej manji i popisów, wszystko to począł na dobre i piękne tłumaczyć. Nic tak giętkiego jak przekonanie ludzkie: w potrzebie miłość własna kieruje niem dowolnie, i umie się z odmiany zdania tysiącnymi sposoby uniewinnić. Julian poczynił teraz widzieć w domu Gerajewiczów wiele pięknych i miłych rzeczy, istotne talenta muzykalne, amatorstwo choć cokolwiek przesadne ale usprawiedliwione namiętnością i podparte stałą pracą, szlachetny popęd naukowy; znajdował, że w zbiorach osobliwości choć są rzeczy podejrżane, ale mnóstwo trafia się istotnie ciekawych i rzadkich; słowem, starał się Gerajewiczów wystawić w świetle nowem i pochlebnem. Nawet ich oszczędność i powiększanie majątku było teraz pełną zasługi dla kraju i społeczności pracą wytrwałą i pocziwą.

Ścisłejsze coraz stosunki z tym domem, przebywanie prezesa i Juliana, wreszcie otwarte przemówienie stryja o zamiarach synowca przyjęte dość mile a bardzo grzecznie, nie dozwalały wątpić, że to się skończy na kobiercu. Wahano się, chciano czasu, rozmysłu, odwoływano zawsze do niezmiernej młodości panienki, o którą obawiała się matka; ale Zeni której się główka

zawróciła, pewną już była że zrobi co zechce i wymoże zezwolenie rodzicielskie.

Juljan zdawał się szczęśliwy, osnował projekta na przyszłość, mieli zaraz wyjechać za granicę; Zeni chciała jeszcze brać lekcje od Thalberga, Liszta i Prudent'a, mając się serjo za wielką fortepianistkę; on marzył o Paryżu, Neapolu, Szwajcarji i wodach u których tak dobrze się bawią. Ale zchodząc w głąb serca czasami, gdy się spotkał niespodziewanie ze wspomnieniem Poli i porównał swe uczucia terazniejsze z temi, których doznawał przy biednem dziewczęciu, — Juljan nie mógł się omylić na charakterze swego przywiązania. Chłodne ono było, sztuczne i potrzebowało tysiąca dodatków żeby żyć mogło.

Zeni bez miljonów, bez nadziei tych podróży, prawie mu była obojętną: całym jej wdziękiem była świeżość młodości, a serca i umysłu nie znał wcale. Ktoż pozna młodą panienkę siedzącą przy matce w salonie, lub kilką urywkowemi słowy rozmawiając z nią sam na sam; jeśli nie ma jasnowidzenia przeczuć, z czego tu wnosić i odgadnąć jakie nasiona drzemią w duszy nierozwinięte i uspione? A jeśli jeszcze uśmiech cię pociąga, jeśli jest trochę uczucia, trochę pragnienia, trochę wdzięczności, jakże one osłapiają do ostatka!!!

Juljan, pomimo to wszystko przekonany był o przyszłym szczęściu swoim... Krótki czas zmienił go bardzo! Wpływ jednego uczciwego ale zimnego człowieka szkodliwie nań podziałał i zrobił zeń istotę pospolitą, bez porywu ku lepszemu, bez chęci do pracy, zobojętniałą, rachującą na przyjemnostki, odrzucającą surowsze obowiązki. Jeszcze w gospodzie między Uściługiem i Włodzimierzem, gdyśmy go spotkali rozmawiającego

z Aleksym, znaleźliśmy go z myślami i pragnieniem wyniesionem z towarzystwa uboższej młodzieży; krótki przeciąg wygasił je zupełnie, Julian kierował się na prawdziwego pana dzisiejszego, którego zadaniem wszystkich i wszystkiego używać, a w sferze myśli pojmo-
wać wszystko, ale nie kierować się niczem namiętnie i z poświęceniem, a dla spokoju zaprzeć się przekonania...

Słabość charakteru czyniła go pochopniejszym od innych do tej przemiany, której ulegają choć później i po niejakej walce, daleko od niego silniejsi; uśmiechał się w duchu sam do siebie z niepraktyczności swych pojęć i młodzieńczych szatów. Prezes zdawał mu się wzorem ludzi w życiu powszednim, a Albert ideałem, na który rad był się przerobić.

Prezes oddychał swobodniej, widząc tę szczęśliwą zmianę w synowcu, ścisnął go coraz serdeczniej, kochał mocniej jeszcze i ujęty łatwością, z jaką szedł za jego radami, wielką mu obiecywał przyszłość.

Zdaleka na staranie Alberta o Annę i Juliana o Zeni patrząc pułkownikowa, gotowała się ciągle choćby do boju za swe dzieci, jeśliby prezes ich szczęściu sta-
wał na przeszkodzie. Postrzegła prędko skłonność Anusi dla Zamszańskiego, ale Gerajewiczówna rozpieszczona, wychwalona, ze swem wirtuostwem na fortepianie, miljonami i panowaniem nad rodzicami, nie bardzo się jej podobała.

Prezes ją stręczył i to już samo zniechęcało matkę, która nie bez przyczyny przewidywała, że Zeni przy-
wykła królować, i w Karlinie nikomu ulegać nie zechce, a wszystkim służyć sobie każe. Ale dla pani Delrio uczucie stało na pierwszym miejscu i gotowa była poświęcić wszystkie swe obawy najmniejszemu Juljana

słowu, oznajmującemu rodzące się przywiązanie dla Zeni. Zbadawszy go zamilkła, nie śmiała już straszyć nadaremnie syna, wiedząc, że jej uwagi na nic się nie przydadzą. Julian pocichu poszeptawszy ze swą przyszłą, która udając, że jej nie pilno porzucić dom rodzicielski, pragnęła jednak trochę swobody i zmiany, nareszcie z prezesem pojechał i rodzicom się oświadczył.

Lament w Sytkowie był wielki, przerażenie ogromne, gdy odwoławszy się do córki, Gerajewicze dowiedzieli się, że ona zgadza się i pragnie tego zamęścia. Zeni była duszą domu, rodzice nią żyli tylko, nie pojmowali co poczną, gdy jedynaczka ich porzuci... Gerajewicz osłabł prawie, sama pani na dobre dostała spazmów, Zeni oczy miała czerwone, zdaje się, że dla przyzwyczajenia tylko, bo niemi na Juliana spoglądała z zalotnością dziecinną...

— Ale coż my pocniemy! w co się obrócim! wołał hrabia — my bez niej żyć nie potrafimy!...

— Przecież Karlin nie tak daleko od Sytkowa — odparł prezes, będziemy składać jedną rodzinę, mieszkać razem tu i tam na przemiany...

— Ani ja, ani żona moja, nie wytrwamy bez niej! nie! — łamiąc ręce rzekł Gerajewicz...

— Kochany hrabio, prędzej, później, musielibyście przecie wydać córkę...

Założano mieszkania w Sytkowie, pokładzono rozmaite warunki tego rodzaju, ale o każdą rzecz pytając się Zeni, z wszystkiego potem ustępowano powoli i zaręczyny odbyły się natychmiast w obec *Vira-Bhadra-Mahadewy*... ze strony Karlińskich pierścieniem po pradziadzie, od Gerajewiczów obrączką starą z soliterem, która wedle podania należeć miała do Marji Stuart,

(zła wróżba!) na co były świadectwa z *pieczęciami*! dawał Gerajewicz... z *pieczęciami*!!

W kątku salonu cichy pocałunek zerwany na ustach Zeni, największą był tego dnia pamiątkę pieczęcią! a gdy wieczorem stosowny koncert zamknął uroczystość, wirtuoska żywą, wesołą, natchnioną grą swoją przypomniała Juljanowi nieszczęśliwą Polę... Gerajewicz był pełen w uniesieniu, w zachwycie, przysięgał, że Zeni nigdy tak jeszcze nie grała, ścisnął ją, płakał, wołał matkę, która płacząc całowała ją w głowę i ręce... a choć Julian także był przejęty, rozkochanemu nawet trudno było podnieść się do wysokości tej admiracji rodzicielskiej. Prezes, wcale niemuzyczny, robił co mógł, był trochę śmieszny ale pocichu, pomimo to uznano go zimnym, bo nie pokłękł przed bożyszczem.

Ślub naznaczono za pół-roku; musiano bowiem zrobić wyprawę, pyszną a taną, co niemałego wymagało czasu. Julian nazajutrz dopiero po zaręczynach, coraz goręcej zajęty, zwłaszcza zaocznie, przypominał sobie, że opuścił stryja Atanazego i nie prosił o jego błogosławieństwo... potrzeba było zaraz jechać do Szury i prezes naglił także; chciano z nim razem wyprawić Annę, ale matka ją wstrzymała...

Ze strachem prawie zbliżył się młody Karliński do mieszkania stryja, którego dziś mniej niż kiedykolwiek pojmował; Atanazy był mu dawniej niezrozumiałym ale wielkim, dziś niepojętym tylko dziwakiem. W długiej ulicy, wiodącej do dworu, spotkali się z sobą; starzec o kiju powracał z Hor, i witając synowca, powiedział mu o tem, nie domyślając się, jak przykro zrani go wspomnieniem...

— Idę z Hor od Justynostwa, rzekł powoli, —

jakoś im szczęście nie idzie; robak wkradł się w ten owoc świeży i piękny; nie pojmuje ich... przyjechali płacząc i siedzą naprzeciw sobie zadumani, cierpiący, rozczarowani. Takie to szczęście ludzkie! Nawet go nie skosztowali, a już im zgorzkło w ustach!

Juljan zarumienił się i pomieszał.

— Nie mówmy o tem w tej chwili, rzekł pospiesznie... boję się dziś więcej niż kiedy złej wróżby dla mojej przyszłości.

— Myślisz więc o niej? dzięki Bogu! — przerwał Atanazy; a mnie tu prezes nagadał o jakichś projektach ożenienia, z kim? z Gerajewiczówną! Ty zbyt młody, zresztą, nie masz celu w życiu, a powinienes czuć obowiązki! Nic nie zrobiłeś dla społeczeństwa, nic dla siebie i dla nas, mógłbyś już się zakopać w małżeństwie, które, jakkolwiek bądź, człowieka robi zimnym i egoistą po troszę?

— Kochany stryju — coraz bardziej mieszejąc się przerwał Juljan... cóż dziś zrobić można?

— Wszystko... Usposobić się na pożytecznego krajowi obywatela, wyznaczyć przed sobą drogę, wytknąć cel, a naprzód dusznego w sobie wykształcić człowieka... Ty wahasz się jeszcze, ty nie jesteś nikim i niczem... dobre kochane dziecię moje... dziecięciem pozostałeś jak byłeś w kolebce, a nie chcę, byś niem był na zawsze...

— Niestety! nie mam sił na nic większego! — westchnął Juljan, — muszę się w domu zagrzebać...

— I w domu pracować i myśleć możesz... zwróć tylko oczy na życie przyszłe i do niego zastosuj terazniejsze... Nie możemy na ziemi być bez celu jakiegos, czujemy to w sobie, że życie nasze przedłużyć się musi po za nasze drobne zaprzątnienia doczesne i granice

ziemskie... Czemuż nie pracować dla dłuższej przyszłości i tak jak się powinno pracować dla niej, z uroczystością i powagą?...

— Wszyscy żyją inaczej, trudno nam...

— Wszyscy źle żyją, zawołał starzec — wszyscy są w fałszu... ale to nie zmusza nas iść za nimi... Tyś Karliński! Bez łzy, z radością duszną widziałbym cię umierającego dziś dla wielkiej idei, męczennikiem, apostołem, wyznawcą, szaleńcem, ale bez smutku nie ujrzę cię zamykającego się w zimnej skorupce ślimaka... lub robakiem przylepionym do zeschniętego liścia...

Juljan nie wiedział już od czego począć, ale postanowił przerwać utrudzającą rozmowę szczerem wyznaniem tego co się stało; schylił głowę.

— Stryju, przebac mi! — rzekł — źle czy dobrze, zrobiłem krok stanowczy; kocham i jestem zaręczony, za pół roku się żenię...

— Źle, bardzo źle! — odstępując zawołał pan Atanazy — jesteś więc zgubiony, a z tobą my wszyscy; nowego pokolenia czekać potrzeba, by nową dało nadzieję... Prezes winien wszystkiemu! Z kim? z Gerajewiczówną! przekłęty interes pieniężny! grosz u nich przedewszystkiem.

— Tak, ja wam się muszę wydawać szaleńcem, rzekł po chwili — moje rady nie zasługują nawet na uwagę waszą, przez resztkę grzeczności i względu przychodziecie mi tylko oznajmić rzecz spełnioną! Darmo! darmo, upaść było potrzeba... upadniecie! Ale czego innego po tobie spodziewał, kochany Julianie i boleścią zachodzi serce moje! Od dziś, od jutra staniesz się taką lalką bezużyteczną i zimną, jakimi są wszyscy panicze nasi; Annę oddajecie drugiemu takiemu chłopcu bez serca,

który pięknie gadać umie i przegada życie, bo na czyn nie ma ani energii, ani wiary! Emilowi odebraliście przyjaciela... nie radźcie się więcej o nie u mnie, nie przyjeżdżajcie do starego szaleńca... nie ma po co. Ja po was w sercu mojem pełnem miłości jeszcze, odśpiewam *Requiem aeternam*... Ani bogactwo, ani stosunki, ani dowcip, nie wybawią was od zagłady... upadnięcie! upadnięcie! A moje oczy się zamkną i opłakać was nawet nie będzie komu!...

Juljan nie spodziewał się takiej gwałtowności uczucia w starcu, stanął przelękły prawie, nie wiedząc co począć, gdy uczuł uścisk drżący obejmujący go i łzę gorącą spadającą na czoło...

— Stało się, ciszej znużony rzekł starzec — stało się! więcej wymówek czynić ci nie będę — niech Bóg błogostawi! pragnę, ale nie wierzę, by Bóg mógł pobłogosławić moralnej śmierci i dobrowolnemu samobójstwu! — Przeznaczenie! fatalność! Nie! zgrzeszyłem, nie ma ich, ale kara opatrzna za grzechy ojców... Odwróć ją Panie!

Otarł oczy pan Atanazy i począł mówić jakby do siebie:

— Daremnnie! inny czas, inne potrzeby, inny charakter wieku! wyrzeczmy się dawnych przeznaczeń; dziś Opatrzność inaczej powołuje pracowników do winnicy, prawica jej zstepuje, jak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, na ubogich rybaków, na celników, na szary lud... myśmy się stali niegodni wyboru i odepchnięto nas od męczeństwa, skazując na los zwierząt nażerających się u żłobu... A! piękna! a! wielka, a święta była przeszłość nasza... umarła przeszłość, której nikt nie wskrzesi... dziś wszystkie tarcze herbowne na stos złóżmy, pokryj-

my całunem i zrzcemy się ich pamiątki... nikt z nas nie dźwignie tych godeł, które nas gniotą do ziemi... Szlachty nie ma, bo nie ma szlachetności... jest lud... i ludzkość! Amen! Zakończył stary i łyzy polykając zamilkł.

XVI.

Aleksy dni kilka w Horach przebawił, Pola przypominała mu Karlin, a stan jej obudzał w nim taką litość, że uczucie to niespodzianą obdarzyło go siłą. Nie mógł patrzeć na dobrowolnie umierającą z boleści i zabijającą nią Justyną, nie próbując coś zaradzić na to. Sam dla siebie nie szukał ratunku, chciał go znaleźć dla Poli i Justyna; pierwszy raz po swej chorobie poczuł w sobie pragnienie i wolę czynu. Poeta jakby w nim domyślił się przyjaciela i lekarza, często sam na sam zostawiał go z Polą, a biedna sierota wylewała się naówczas z przypomnieniami bolesnemi Juljana i Anny. Odgadła ona serce przyjaciela... Trzeciego dnia wyszli we dwojgu pod stare lipy horeckie, dom otaczające; zdawało się, że pod niemi siedzącego Justyną jak posąg z oczyma w wodę wlepionemi, dumającego nie o wielkim poecie, którego wątek się zerwał w zranionej duszy, ale o wielkiem swoim nieszczęściu... Aleksy wskazał Poli zamysłonego poetę.

— Patrz, rzekł — to dzieło twoje, życie z niego uciekło... źródło szczęścia wyschło, poświęciłaś go dla Juljana... a nie masz dziś siły zapłacić mu jego ofiary...

— Czem? zapytała Pola — mamże co prócz łez?...

— Trzeba łyzy ukryć, trzeba przestać płaczu, trzeba żyć dla niego, uzdrowić, podnieść, pogodzić z życiem.

— Spojrz na mnie, gdzie siły? gdzie odwaga! Umrzeć chcę tylko!

— I jego pociągnąć z sobą do grobu! zawołał Aleksy.— Polu, to egoizm! to ciebie i twego wielkiego serca niegodne, pracuj, módl się, dźwignij i podnieście się razem... Nie mówię ci, że będziesz szczęśliwą, wiem, że są uczucia, co całą zatruwają przyszłość, ale będziesz spokojną uratowawszy go... Uczyń jeszcze jedną ofiarę, wróć do życia dla niego... zamknij boleść w sobie... Bóg ci da siły!

Pola skłonna do łez, rozplakała się chwytając Aleksę za rękę i cisnąc ją z zapalem.

— Dziękuję ci, sądzisz mnie lepszą, silniejszą, większą niż jestem; ale mnie nie znasz... ta miłość poniosła z sobą wszystko!

— Nie mówmy o niej; człowiek co ją natchnął, nie był jej godnym, miał tylko chwilę młodości, ale nie wiekuiącą serca młodość daną wybranym — zestarzał i uwiądł zawczasu...

— Zwarzyła go atmosfera zabójcza! a! gdzieindziej innym-by był może!

— Więcej winnaś Justynowi niż jemu! Justyn mógłby narzekać i przeklinać, został zwiedziony i poświęcony dla niego; zwichnęłaś jego przyszłość całą, spojrz jednak czy skarga wyjdzie z ust jego, czy narzeka, czy przeklina zabójcę, milczy i płacze, myśli o tobie, bo cię kocha; powinnaś mu to zapłacić!

Pola zamysliła się.

— Nie! nie mogę! kłamstwo to wyczerpało mnie, upodliło; nie potrafię skłamać raz drugi... choćby dla szczęścia jego...

— Miej litość nad nim... po cichu szepnął Aleksy...

Szli tak ku miejscu, w którem siedział Justyn, ale gdy się zbliżyli, Pola powolnie odeszła na bok, zostawując ich samych: Aleksey spostrzegł jednak na jej twarzy, obok zwykłego smutku, poważne zamyślenie, zwiastujące walkę wewnętrzną... nasienie było rzucone, nie wątpił, że wzrosnąć powinno.

Potrzeba ich było zostawić samych z sobą, i po kilku godzinach Drabicki bez pożegnania odjechał do domu, spokojniejszy na duszy, przeczuwając, że bytność jego na coś przydać się może.

W Żerbach zastał matkę niespokojną, szukającą na jego twarzy śladów wycieczki, wiadomości o sercu syna; spokój wypogodzonych rysów nieco ją udobruchał; spytała tylko wejrzeniem Parfena, czy gdzie nie zajeżdżali, a chłopiec odpowiedział jej wstrząśnieniem głowy... Dla Aleksego ta przejażdżka była istotnie lekarstwem zbawiennem; myślał teraz o Justynostwie i spodziewał się dla nich szczęścia, którego sam nie kosztował. Ale to co on im uczynił, Junosza silił się zrobić dla niego... pocziwy starzec przychodził teraz niemal co dzień do Żerbów, lub Aleksego do siebie wyciągał; zatrzymywała go apatja młodego człowieka, w początku mogąca się przypisać osłabieniu chorobliwemu, później już serca stanem tylko dająca się tłumaczyć.

Aleksey nie zajmował się niczem, cały dzień siedział zamknięty; czasem brał książkę w rękę, tęsknił, wzdychał, ale ani matka ani brat nie potrafili wymódrz na nim, by się jął czegoś, wrócił do ruchu, do gospodarstwa, lub obrał sobie inną jakąś drogę... Odpowiadał im znużeniem lub milczeniem, unikał wreszcie, i wysłuchawszy serdecznych rad, przyjąc ich nie chciał i nie myślał.

Tak upłynął dość długi przeciąg czasu i biedna matka widząc, że surowość jej na nic się przydać nie może a drażni syna, pieścić go już poczyniała, jakby jeszcze był chorym, na ostatek udała się po radę i posilek do Junoszy, jak zawsze; był to jedyny przyjaciel domu, któremu zwierzyć się mogła...

— A co ja tu pocznę? — odparł hrabia... na to czas jedyny lekarz... albowiem to mu mało mówił, ale wszystko jak groch na ścianę...

— Spróbujże innego środka! zrób co chcesz, a oddaj mi syna.

Stary pokiwał głową i zamilkł. Myślał on długo co począć, ale sposobu nie widział; są głębokie uczucia nieuleczone, których ręka przyjaźni tknąć nie śmie, bo widzi je niepokonanemi a szanuje ich szczerłość i siłę.

Taką była miłość cicha Aleksego, która nie wyszedłszy przez usta, cała w sercu zamknięta, ani rozczarowaniem, ani rozpaczą uleczoną być nie mogła. Było to coś jak choroba chroniczna upartego, nie mogącego przejść w stan silniejszy, co by powolnego potem zapomnienia dawał nadzieję. Zrodzona pierwszego dnia tak silną jak była do końca, trwała i trwać musiała, opierając się czasowi nawet. Ubodzony w serce wyborem Alberta Zamszańskiego, Aleksey i ten sobie wytłumaczyć potrafił, i zaś niewiódł Annę; a ona zawsze pozostała dlań ideałem...

Na próżno hrabia starał się, okrywając śmiesznością Poznańczyka, i z miłości Anny dla niego wnioski czynić o niej, poniżyć ją w oczach Drabickiego; ta słabość zdawała mu się tem naturalniejszą, że pochodziła w Annie ze szlachetnych instynktów, zwiedzionych tylko dobrze odgrywaną komedją.

Karlin milczał; napróżno Emil się niespokojnie wyrywał do tego, którego zwał przyjacielem, ojcem, dobroczyńcą. Prezes jak mógł go wstrzymywał, Anna, a dla jej miłości Albert, usiłowali zastąpić przy Emilu Aleksego, ale ku ostatniemu odezwał się niechętny ów instynkt w głuchoniemym — mniej gwałtownie jak dawniej, hamowanym, wszakże widocznym wstrętem.

Co dzień domagał się Emil, znakami mówiąc do siostry i brata, by mu pozwolili dojechać do Żerbów, wskazując je uparcie, bo wiedział, że tam mieszkał Aleksy. Prezes, który tego języka znaków nauczyć się nie mógł, czy nie chciał, kazał wreszcie powiedzieć Emilowi, że się Aleksy na nich gniewa, że ich widzieć nie może, ale to wzmogło tylko niecierpliwość głuchoniemego, który koniecznie chciał go przeprosić i do Karlina znów przyprowadzić. Anna rumieniąca się na wspomnienie Drabickiego, daremnie pracowała nad bratem, by mu wytłumaczyć jak dziwnych rzeczy pożąda.

Emil potrzasał głową i zrozumieć tego nie mógł.

A gdy brat i siostra, stryj i matka zaprzeczali mu przyjemności, której tak gorąco pragnął, biedny Emil począł się udawać do swego codziennego dozorczy i usiłował mu wmówić, żeby go do Żerbów tajemnie poprowadził.

Stary Antoni płakał, na wpół obiecywał, ale sam odważyć się na to nie śmiał.

Znużony prezes, Anna i Juljan nieustannem naleganiem, które dla nich było wyrzutem prawie, dnia jednego nakoniec pozwolili Emilowi pojechać do Żerbów. Głuchoniemy o mało nie oszalał z radości i wpadł w tak gwałtowny paroksyzm niecierpliwości, że mu wystarczyć nie było podobna pospiechem przygotowania. Pozabie-

rawszy co tylko miał, książki z obrazkami, zabawki niemal dziecinne, narwawszy w ogrodzie i oranżerii kwiatów, które wiedział, że Aleksy lubił, chcąc niemal wszystko, co miał zawieść dla niego, wyleciał czekając powozu nim w stajni ubierać konie poczęto. Stary Antoni ledwie go mógł powstrzymać, żeby nie pobiegł piechotą, gdyż głuchoniemy zabrawszy co miał, wskazywał Żerby i chciał biedz do nich, nie czekając na konie. Wsiadł do powozu zamyślony, uśmiechnięty i całą drogę ruchami swemi wskazywał tylko jak mu pilno było dojechać do wioski i uściskać Aleksego.

Tęsknił za nim Drabicki, ale się go nie spodziewał wcale i gdy posłyszawszy turkot, wyszedł zbudzony na ganek, gdy Emil gwałtownie rzucił mu się na szyję, płacząc z radości i okrywając go pocałowaniem, Aleksy pierwszy raz od dawna poczuł się rozczulonym, przejęty czystą i świętą roskoszą... Ledwie przywitawszy się Emil pochwycił kwiaty, pozbierał książki swoje i sam wszystko zaniósł Aleksemu... Widać jednak było na jego twarzy zdziwienie, gdy ujrzał, przywykły do zamku i pięknego ogrodu Karlina, ubogi dwór słomianą pokryty strzechą i ciasną izdebkę przyjaciela... Oglądał ją ciekawie i jakoś zrozumieć nie mógł; siadł nareszcie i poczęły się pytania:

— Dla czego nie masz pałacu i pięknych pokojów?

— Bom ubogi... odpowiedział mu Aleksy...

Ubóstwa nie mógł dobrze pojąć Emil i trzeba było długiego wywodu, by mu je wytłumaczyć.

Spytał potem Aleksego — czy on sam bogatym jest czy ubogim?

— Jesteście bogaci, odparł Drabicki...

— To mógłbym się z tobą podzielić tem co mam —

rzekł Karliński.

— Myślisz, że mi to potrzebne? bogactwo nie daje szczęścia; mnie tu tak dobrze w domku, w którym się urodziłem, jak tobie w Karlinie...

Chciał się potem dowiedzieć Emil, dla czego Aleksy ich opuścił, dla czego do nich nie przyjeżdżał, trudno mu było powiedzieć wszystko lub kogokolwiek obwinić, Drabicki zbył ogólną odpowiedzią.

Stara matka przyszła gościa tego zobaczyć i rozplakała się choć nie była do płaczu skora, pierwszy raz widząc człowieka, któremu Bóg odjął słuch i mowę, odcinając go od zewnętrznego świata. Emil zdawał się na widok jej w początku przestraszony, wpatrywał się w nią bojaźliwie, ale później począł uśmiechać, i kazał jej powiedzieć, że ją kocha.

Bawił go Aleksy jak dziecię i wielką czuł w sercu radość z tych odwiedzin nieszczęśliwego, który sam jeden wiernym mu pozostał.

— Miałyby świat i społeczność być tak zepsutemi, pytał się w duchu, żeby to tylko co z pod ich wpływu kalectwem się wyłamało, pozostawało czystem, serdecznem i pocziwem? miałyby działanie ludzi na ludzi być tu zabójczem i trującym? Dla czegoż z nich wszystkich istota najsłabsza i najułomniejsza pozostała wdzięczną i jedna kochać umiała?

Myśl przywiodła mu Annę, równie świętą, równie czystą i Aleksy nie dokończył pytania.

Zmierzchało już, a Emil odjeżdżać nie chciał, wskazywał sofę, na której mógł się spać położyć i odprawił Antoniego do Karlina, prosząc go, całując, by mu zostać pozwolił. Rozkazy wszelkie były stanowcze, prezes czekał, potrzeba było jechać koniecznie... Emil wymagał

po Aleksym, aby do niego przybył i wskazywał mu miejsce schadzki w ogrodzie, gdyby z innymi mieszkańcami spotkania się unikał: przykro było odjąć tę nadzieję biednemu, ale jak ją było zostawić?

— Przyjdiesz do mnie! ja tam już być nie mogę! rzekł Drabicki... zobaczmy się znowu...

Emil jak dziecko się rozplakał, i musiano go prawie gwałtem wsadzić do powozu; stara Drabicka nawet widokiem tym była rozczuloną... i trochę ją Emil z Karlinem pogodził.

XVII.

Nie wiele nam już pozostaje do skończenia tej powieści, która, jak widzicie, nie miała węzła, nie ma początku i urwać się musi tak, jak w życiu naszym urywają się wypadki mgłą osłonięone i w dal uciekające... Wszystko to od razu przewidzieć mogliście i ja też wcale nie ubiegałem się za niespodzianem i nowem; dałem wam urywek powszednich dziejów, któremiśmy otoczeni dokoła; historję kilku serc ludzkich ułomnych, słabych i biednych, więcej litości wzbudzających niż niechęci... jeszcze słów kilka i zamkniemy tę książkę, która po sobie jak spojrzenie w świat, smutne zostawić musi wrażenia.

W kilka tygodni po bytności Aleksego w Horach, naglony do wyrwania się z tego stanu zdrętwienia i nieruchomości, który tak matkę i przyjaciół przestraszał, Drabicki znowu pojechał do Justynostwa. Wiodła go tam ciekawość i przeczucie jakieś niedaremnej pracy. W istocie zmiany zastał wielkie: Justyn wybiegł ku niemu z twarzą prawie dawniejszą, pogodną i pełną

nadziei, Polę zastał u fortepjanu zajętą muzyką, która teraz stała się jej jedyną rozrywką. Justyn szepnął mu po cichu, że ma nadzieję uzdrowienia żony, że się wzięła do pracy, że życie w nią wróciło.

Tak było w istocie, ale na twarzy tej ofiary nie postrzegł jeszcze żadnej zmiany przyjaciół; pragnienie szczęścia zwodziło Justyna. Pola miała rumieńce, blask w oczach, uśmiech na ustach, a gorzej się mu wydawała niż pierwszym razem: wysiłek był widoczny, trawiąca choroba widoczniejszą jeszcze...

— Widzisz, zawołała prawie wesoło podchodząc ku niemu i podając mu rękę z uśmiechem... posłuchałam cię, pracuję, bawię Justyna, pilnuję go, krzątam się koło domu i doprawdy coś mi lżej, lżej daleko! Jestem spokojna... A ty?

— A ja, rzekł Aleksy, jak widzisz, kochana pani, trzymam się... żyję...

— Nie widzę w tobie poprawy!

— Przyjdzie z czasem, boleśnie odparł Aleksy.

Ze wszystkiego stan Justyna i jego powrót do ulubionych zatrudnień najwięcej pocieszył Drabickiego; poeta znowu wybiegał zbierać pieśni i podania, znowu marzył o wielkiej epos homerycznej z dziejów słowiańskich, znowu mówił o przyszłości i kołysał się na obłokach poezji; zdawało mu się, że Pola go kochała, że mieli przyszłość przed sobą, że *wczoraj* pogrzebli na wieki.

Ale tak nie było w istocie! Pola znowu z poświęceniem zupełnem zaparła się łez i cierpienia i przywołała uśmiech, wesołość, spokój dla osłodzenia kilku chwil życia temn, któremu narzuciła się za smutną towarzyszkę. Aleksy widział to jaśniej i lepiej, ale nwo-

dział się tem, że często wielki wysiłek woli sprawia cuda, bo jest niepokonaną dźwignią, gdy się łączy z wytrwaniem; myślał, że stan ten Poli jest przejściem męczącym tylko, nie poznał się na jej chorobie i wyniszczeniu. Tymczasem walka ciągła, wewnętrzna boleść i gwałtowna praca w nieustannej trzymając ją gorączce, wyrodziły już nasionko śmierci... Poli dni były policzone, przeczuwała zgon bliski chwilami, ale milczała zobojętniała i znużona, potrzebowała spoczynku choćby w mogile.

Smutny odjechał Aleksy i znowu upłynęły kilka miesięcy w przeczuciach tylko i domysłach; list Justyna przerwał milczenie; prosił on Drabickiego o przywiezienie Grebera do żony, która była osłabiona nieco i położyć się musiała... Z pisma poety widać było, że miał to za przemijającą chorobę małej wagi.

Aleksy natychmiast pobiegł do miasteczka i namówił nie łatwo lekarza, aby z nim do Hor pojechał.

Greber coraz teraz więcej miał praktyk między panami i prawie wyłącznie się im oddawał, utrzymując, że dobry doktor powinien specjalnie pewnej klasie tylko się poświęcić, gdyż każda warstwa społeczności ma swoje choroby, patologję i medycynę oddzielną. Na usilne jednak naleganie Drabickiego i dla stosunków Poddubińca z Karlińskimi, dał się nakłonić, zawarawszy powóz na resorach i różne drobne wygodki, do których był przywykł, a więcej jeszcze przywyknienie udawał, pewien będąc, że wypieszczenie nada mu ten dobry i dystynkcję...

Późno wieczorem przybyli do Hor; spotkał ich Justyn w ganku z twarzą spokojną i czołem wypogodzonym, co Aleksego nieco też ubezpieczało...

— Jak się ma Pola?

— Nic, to tylko jakieś osłabienie...

Gdy Greber wyszedł od chorej upominając się o herbatę, Drabicki nastraszył się chmurnego wyrazu jego zwykle obojętnej i uśmiechającej fizjonomji; Justyn wyszedł.

— Co to jest? zapytał po cichu Drabicki.

Lekarz ruszył ramionami...

— Ostatni stopień suchot! za parę dni skona! nie ma ratunku; zapiszę lekarstwo, ale wiem, że ono nie pomoże... nie było mnie po co przywozić...

Aleksy pobladł i zalamał rece; szczęściem wchodzący napowrót Justyn ruchu tego nie postrzegł, a Pola kazała prosić przyjaciela do siebie.

Wszedł do niej wzruszony Aleksy, nie wiedząc co począć z sobą; wyrok lekarza guiółł go kamieniem...

Pola ubrana siedziała w łóżku sparta na poduszkach, piękną była jak nigdy może; w twarzy cierpienie nie pozostawiło śladów zniszczenia, bo je uświęcała ofiara wielka; wyidealizowało tylko rysy, głębszem uczyniło wejrzenie, niewinniejszym uśmiech pełen uroku...

Położyła palec na ustach gdy się zbliżył.

— Cicho! cicho! nie Justynowi nie mówcie, dobrze mu i dzień ciężki oszczędzić, a dni ludzkie policzone... śmierć moja spadnie jak piorun... przeboli i przeżyje... Pozostanie mu blizna w sercu... Ale z nią żyć można... Biedny, pocziwy Justyn! Ja wiem że umrę; nie rozumiem co mi jest, ale czuję brak taki życia, siły, tak coś szybko we mnie lecącego do końca, takie podbudzenie, taki pospiech...

Zakaszła się i mówić przestała...

— Jutro sprowadźcie mi księdza! a! gdyby! gdyby

i on chciał przyjechać, żebym mu mogła powiedzieć, że mu przebaczam.

— Po co? zawołał Aleksy.

— Prawda! nie! nie! nie potrzeba go! widzieć go nie mogę i nie chcę! toby zabolalo Justyna; ale powiesz mu kiedyś! nie! i mówić nie należy!

Pola się rozplakała...

— Jutro księdza .. prosze cie, przyjacielu... to może przyjść prędko, płomyk dogorywa... i zgaśnie... A ty! dodała jakże się masz! źle! źle! jak ja! nie? Powiedz mi? ja wiem wszystko!

— O wszystkim trzeba zapomnieć...

— Jacy to szczęśliwi ci co zapominać umieją... ja! nie mogę! każde tchnienie przywodzi mi przeszłość, każdy dźwięk... A! gdybyim go zobaczyć tylko mogła, i posłyszeć, że on mi przebaczył; gdybyś ty to zrobił?

Aleksy milczał?

— Prawda! to niepodobieństwo—dodała po chwili — śmieszna jestem z takim ładaniem!

Zamilkła i podnosząc się powoli poczęła ciszej:

— Polecam ci Justyna... w pierwszej chwili nie daj mu żyć się z boleścią; jak ukąszenie psa wściekłego, trzeba ją na razie wypalić, bo się wpije i oszali jak mnie... Dla czego los padł na niego? A! on przeżyje, on wytrzyma! on ma wiarę, ma młodość i pojęcie, trzy piersi macierzyńskie co go na nowo podsycą...

— Mówienie ci szkodzi, męczy, ja pójdę, rzekł Aleksy widząc coraz żywiej występujące na twarz jej rumieńce.

— Chwila dłużej lub krócej, żyć nie będę — odparła chora — co mi tam; a! gdybym wiedziała że go zobaczę, szanowałabym życie! Ale nie! prawda, że nie?

spytała Aleksego, ty mi go nie przywieziesz!

— Nie mogę... nie potrafię, odparł Drabicki — na cóż ci ten widok...

— Tak! to niepodobieństwo! a jednak! a! takbym pragnęła go widzieć jeszcze i zamknąć potem oczy i na nic już nie patrzeć, pójść na sen wieczny z jego obrazem...

— Polu!

— Nic! nic! wszak milczę! nie powiem już nic więcej! ty nie pozwalasz, tyś okrutny... dla siebie i dla mnie. — Tyś jej nie widział?

— Kogo?

— Anny! nie? a! tyś silny! ja ci zazdroszczę! ja-bym z tej odrobiny dni moich dała połowę, więcej, byle mnie tam zanieśli, byleby tam umrzeć mogła... pod lipami... Anna nie ma serca!

Tych słów domawiała płacząc Pola, gdy wielki zamęt zrobił się w domu; zahurkotał powóz, Justyn pobiegł, słysząc było chodzenie; Pola zawołała z jasnowidzeniem chorych:

— A! to ona! to ona!

Aleksy zerwał się przerażony, zbłądł i spojrzał kłó-rędyby mógł nieckać; wszedł Justyn i zbliżył się do łóżka żony.

— Masz gościa Polu! rzekł z uśmiechem, panna Anna była w Szurze, dowiedziała się tam o twojem niezdrociu i przyjechała do nas... pozwolisz jej przyjść?

Pola zadrgała... przypomniawszy się Karlin, ale oddechu jej i mowy zabrakło, wyciągnęła tylko ręce ku drzwiom... Aleksy już był zniknął...

Bocznemi drzwiami wymknął się na ogród, kazał zaprządzić i wyjechał na całą noc do Żerbow.

Anna, która się z nim spotkać obawiała, nie znalazła go już w pokoju Poli; niespokojna powiodła wzrokiem i pospieszyła do przyjaciółki z uściskiem, do którego dawno wzdychała, a którego tylko matka i prezes jej bronili. Szczęściem w Szurze pan Atanazy, inaczej pojmujący rzeczy, na pierwszą wzmiankę o Poli, za obowiązek jej poczytał by do niej jechała; upoważniona przez niego, wieczorem zaraz do Hor pobiegła.

Po długiem niewidzeniu przeraziła Annę zmiana straszliwa jaką w Poli znalazła, ale już lzy otarłszy wdzięczna sierota uśmiechem witała towarzyszkę lat dziecinnych. Długo milczały obie: Justynowa zbierała resztę nocy jaką miała, by nie zasnucić Aunty, i nie zatruć chwili ostatniej.

Pytania i odpowiedzi posypały się żywo — a przybyła, pierwsza zaczęła mówić o Julianie, nie wiedząc jaką boleść nową przywiozła umierającej.

— To już wiesz zapewne, rzekła, że Julian szalenie zakochany...

— My tu nic nie wiemy... Hory jak Szura... spią w lasach milczących... nikt u nas nie bywa, spieszenie podchwyciła Pola...

— I już po zaręczynach, dodała siostra — siedzi tam prawie ciągle u Gerajewiczów, Zeni zajęta nim; wesele za kilka miesięcy...

Pola uśmiechnęła się choć ją ten uśmiech kosztował i wargi krwią zaszły.

— Nie można było stosowniejszego, piękniejszego, szczęśliwszego obmyśleć związku, dodała Anna — oboje młodzi, urodzenie, majątek, gusta, tak się wybornie zgadzają! Prezes to pierwszy osnuł... jam się obawiała żeby Julian nie grymasił, ale z początku tylko był obo-

jętny, a dziś kocha... nie mówi tylko o niej, nie myśli tylko o tem, wesół jak nigdy, nie poznałabyś go.

— Tak dawno nie widziałam!

— Prawda! mogłabyś się na nas gniewać żeśmy cię nie odwiedzili, ale mama, stryj prezes... a potem nieustanni goście... Wiesz może, że i dla mnie są jakieś projekta?...

Anna się zarumieniła.

— Słyszałam trochę... żał mi, że go znam tak mało.

— Poznasz go lepiej, przyjedzie do was! wstyd mi przyznać ci się, ale to człowiek jakiego nie spotkałam w życiu, prawdziwie wyższy...

— Ty kochasz, biedna Anno! zawołała Pola nie mogąc dłużej się wstrzymać... a! daj ci Boże szczęście!

— O! jeszcze nic nie wiem, dodała Karlińska — na czem się to skończy; mama jest bardzo za nim, pytała mnie, przyznalanu się przed nią, że mi się podobał, prezes waży się jeszcze... Julian już go kocha jak brata... Tylko stryj Atanazy nie wiem czemu, nie bardzo go lubi... ale on tak dobry, sprzeciwiać się nie będzie...

Rozmowa była niewyczerpaną, bo dla Poli najdrobniejszy szczegół który ją do Karlina przenosił, był droгим i miłym; rozpytywała o wszystko, o swoją izdebkę, o kwiatki, o sprzęty, o życie w Karlinie, o to co się stało po jej wyjeździe... Nie mówiła o Julianie, ale ku niemu każda się jej myśl ściągała; nareszcie gdy późno w noc rozstać się było potrzeba, Pola ze wzruszenia zemdlala prawie po wyjściu Anny, dostała ziębienia i gorączki, i stan jej mocno się pogorszył.

Nazajutrz przyjechał ksiądz Mirejko, do którego Aleksey z karczmy długi list napisał; przybył niby w odwiedziny tylko, a po drodze w kapliczce zostawiwszy

sakramenta, sam poszedł do chorej z wesołą twarzą człowieka co nawykł spotykać się ze śmiercią.

Bawiąc się paskiem, żartując, zapytał Justynowej — czyby nie chciała się wypowiadać.

— I owszem, pragnę tego, podchwyciła szybko — ale mi jegomość męża przygotuj, żeby się nie nastraszył, jam gotowa...

Z Justynem nie było trudno.

— Asindzieja żona chora, rzekł do niego, a mnie tu pan Atanazy przysłał z dyspozycją żeby się spowiadała...

— Ale ona nie jest tak słabą, żeby myśleć nawet o niebezpieczeństwie.

— A! czy to tylko w niebezpieczeństwie spowiedź potrzebna? — zawołał ksiądz Mirejko.

— To ją może przestraszyć.

— Nie bój się asindziej, to ją uspokoi, ja z nią mówiłem.

Justyn nie sprzeciwiał się więcej, i chora tegoż dnia przy Annie odbyła spowiedź i załadala sama wiatyku. Przeraziło to męża, ale go jeszcze uspokojono; Greber tylko panu Annie powiedział, że Pola dni kilka żyć nie będzie. Naturalnie Anna została przy niej.

W nagrodę ofiar tyłu, pan Bóg chciał jej ostatnie na ziemi osłodzić godziny. Anna przypominała Kochany Karlin, dzieciństwo, Juliana... przyniosła z sobą to woń wspomnień, która tak słodko upaja. Pola zdawała się odżywać, przywołała Justyna, po cichu rozporządziła niektórymi fraszkami.

Poeta jeszcze w śmierć nie wierzył; jakby na dłuższe utrzymanie go w tem przekonaniu, chora zaczęła się mieć lepiej, bo zwykle zgon ostatnie wytężenie sił żywotnych poprzedza... Cały dzień oddychała swobodniej,

zmniejszyla się gorączka, runieniec pobladł, ale na noc z taką mocą wróciły groźne symptomata, że jej już mowę odjęło.

Justyn osłupiał uderzony nagle wyrokiem śmierci: nie przypuszczał jej, nie wierzył w nią, aż gdy nad chorą modlitwy przy konających Anna czytać poczęła... gdy twarz jej znużoną oświeciła zapalona gromnica...

O samej północy kilka westchnień ciężkich wyrwało się z jej piersi — biedna Pola nie żyła...

Długo u skostniałej jej bladej ręki klęczał Justyn nieprzytomny, bez łzy i jęku, aż go odciągnął ksiądz Mirejko i Greber... którzy wprzód jeszcze Annę wyprawili i po Aleksego posłali. Chciano i Justyna wywieźć do Szury, ale na to nie pozwolił.

— Dłużej z nią będę, rzekł stanowczo — mam prawo oddać jej ostatnią posługę; nie frasujcie się o mnie, życie nie tak mi drogie, jam nikomu już niepotrzebny.

Naówczas odzyskując na chwilę straconą pamięć, Justyn ruszył się z miejsca dźwigając wolą silną, zwołał ludzi i począł myśleć o najdrobniejszych szczegółach pogrzebu... o ubraniu, o trumienne... o grobowcu... Sam wybrał jej suknię białą, podnosił gdy ją na wieczny spoczynek stroiły kobiety, dał krzyżyk w ręce, i na białem marmurowem czole złożył pocałunek ostatni; sam drogie zwłoki przeniósł do pokoju od ogrodu, gdzie trumny czekać miały, a to łoże ostawił kwiatami, ubrał zielenią...

Sam jeszcze złożył ją w trumienne, którą wysłał ziołami pachnącemi, i niemogąc zapłakać, niemogąc spocząć, nieustannie przechadzał się na straży... Nareszcie przyszła chwila pogrzebu; Justyn wprzód jeszcze pobiegł na cmentarz wiejski i wyszukał na nim miejsca,

cichego kąta na spoczynek między dwiema brzoza-
mi, wśród których wymurowano izdebkę tak, aby nie jedna
ale dwie trumny staować w niej mogły, i poniósł ją na
ramionach do nowego mieszkania. Bolesć i rozpacz jego
tem sroższe były, że ich okazać nie mógł, że się ani
łzą, ani jękiem nie wylewały; ukląkł gdy grób zamu-
rowywano, pomodlił się długo i wprost od niego, nie
wracając do pustego domu, jak stał poszedł do Szury...

Pan Atanazy wiedział już o śmierci Poli i czekał
Justyna... Gdy go zobaczył, otworzył ramiona i nie
mówiąc słowa uściśnął wychowanka, który zmęczony cier-
pieniem upadł omdlały na ziemię.

Anna płacząc zajechała do Karlina, a Julian który
z wesołą twarzą i cygarem w ustach wyszedł na jej
spotkanie z Albertem, przeląkł się zmienionej twarzy.

— Co to jest? zawołał — miałołoby jakie nieszczęście
spotkać nas w Szurze?

— Nie mój drogi, nie! — cicho szepnęła siostra...
Pola, biedna Pola umarła...

Spojrzała na niego, Julian drżał cały i chwycił rę-
kami o coby się oparł.

— A! zawołał nieprzytomny zapominając o otacza-
jących — jam ją zabił! jam ją zabił!

Te słowa dziwne, niezrozumiałe w początku dla sio-
stry, gwałtownie zmartwiły prezesa, który porwał sy-
nowca i despotycznie pociągnął go za sobą, dając znak
Albertowi aby mu dopomagał. Tajemnica tak dobrze
dotąd chowana, wydała się na ostatku... szczęściem sio-
stra tylko, stryj i jeden obcy byli świadkami wykrzy-
kniku Juliana.

Prezes, który czuł, że ciężar tej śmierci i jego su-
mienie przygniata, bolejąc nad Julianem, nie odstąpił

go na chwilę; ale rozpacz Karlińskiego w pierwszej chwili tak gwałtowna i niepokonana, że dla niej o ludziach zapominał, nie miała charakteru trwałości, przewidzieć było łatwo, że wybuchnąwszy przygaśnie. Nazajutrz z panem Albertem wyprawiono go w sąsiedztwo, na polowanie, w odwiedziny, i Julian dał się pociągnąć posłuszny; w tygodniu zawieźli go do Sytkowa obawiając się, by wieść jaka nie doszła uszów Zeni. Prezes uprzedził go nawet, tłumacząc braterskiem przywiązaniem smutek biednego Karlińskiego. W dobrem ale nunięciem sercu młodego człowieka na chwilę wyciskało się wrażenie głębokie, ale wkrótce czas leczył ranę i śladu jej nie pozostawiało. Julian płakał i wzdychał, chodził do ogrodu, wylewał się ze swoim żalem i zgryzotą przed prezesem, a stryj tak umiał przeszłość wystawić chłodno, powszednio, prozaicznie, że powoli sprawadził go z drogi i popchnął znowu ku Zeni, lecząc miłość miłością, jeśli się tamto przywiązanie tak wielkiem imieniem nazwać mogło...

Inaczej bolał Justyn, który do domu w Horach nie wrócił i znowu w Szurze pozostał; jego cierpienie leczył pan Atanazy wiarą, modlitwą i poważnemi słowy; nie przymuszał go zapomnieć, ale wskazywał obowiązek życia i słodycz pewną w tym węzle, łączącym tak silnie z drugim, lepszym światem. Nie bronił Justynowi iść i błądzić po lasach znowu, i wybiegać aż na cmentarz w Horach, gdzie dnie całe u mogiły przepędzał.

Nie rychło postrzegł dopiero poeta, że cios co mu serce zakrwawił, otworzył w nim nowe źródło myśli i poezji; boleść jego stała się natchnieniem; przeszedłszy przez ogień próby lepiej zrozumiał świat, goręcej go ujął i wyśpiewał. Wspomnienie Poli stało się dlań

życia skarbem; nie pozwolił nic poruszyć w domu, który tak pozostał jak go zmarła rzuciła; czasami przechodził tam Justyn i usiadał na długie godziny dumania przy cichym jej fortepjanie, na którym pył pokrył rozrzucone nuty, w ciemnej izdebce, w której na łóżku skołała... u zasłanego dywanem tapczanu, w koło którego poschle zostawiono kwiaty...

I wyżył! Bóg często lekarstwo zsyła w samym choroby zarodzie, tak z nim było: żał przy życiu go trzymał... Wrócił Justyn do dawnego sposobu życia, przebiegając wioski, przysłuchując się głosom pieśni i przypatrując naturze; cień Poli towarzyszył mu wszędzie, a we snach widział ją codziennie, białą, czystą, uśmiechniętą, wyciągającą doń rękę z obłoków i wabiącą w swoje światy. Juliana tylko widoku znieść nie mógł i unikał, a ilekroć przyjeżdżał do Szury, uciekał w pole i lasy, żeby się z nim nie spotykać.

Tak dopełniło się w nim zawodem i bólem życie, któreby było pozostało bez nich niepełnem; one otworzyły w sercu jego nowe źródła, oczom dały nową siłę, duszy hart potęguy, zmęziły go, wzmocniły, podniosły. Nigdzie świat zrozumialszym nie ukazywał się oczom jego, jak na mogile żony, na której Justyn sadził kwiaty i drzewa własnymi rękoma, i pielęgnował kryjomo. Czasem razem z panem Atanazym odbywali tę pielgrzymkę ementarną, a starzec wówczas rzucał kij i księgę, z wychowawcem razem okopując, przesadzając, podlewając i krzątając się jak dziecię. Ta wierność mogile śmieszną była dla pospolitych ludzi, ale dla nich obu większą w sobie mieściła przyjemność, niż obcowanie z żywymi.

XVIII.

Karlinowi znowu uśmiechały się nadzieje; Albert był już narzeczonym Anny, a Julian zajęty ożenieniem swoim, powozem i kofmami, całkiem o Poli zapomniał. Prezes leczył go ze smutku, zresztą wcale nie zagrażającego, żartując, bo utrzymywał, że jak zimna woda leczy wszystkie prawie choroby ciała, tak szyderstwo pomaga przeciw niemal każdemu strapieniu. I przyznać trzeba metodzie prezesowskiej, że ten sposób leczenia bardzo się powiódł na synowcu, który po niejakiem czasie ze smutku przeszedł do smętku, do tesknoty, do apatji, a nareszcie do pół-uśmiechów i nieopatrznego wesela. Przyczyniły się do tego zajęcia, chwili przedślubnej właściwe, które szczęśliwie uwagę jego zwróciły ku fraszkom. Potrzeba było smakownie i po pańsku wystąpić na przyjęcie panny Gierajewiczówny, która przybywając z muzeum Sytkowskiego, mogła być bardzo wymagająca. Urządzono więc dla niej apartament, pełen pamiątek i osobliwości, sprowadzono Pleyel'a, trochę nut, orgue-harmonium, ażeby z żywiołu muzycznego nie zupełnie ogolonym dom zastała. Julian mocno się krzątał około dobrania barw liberji, powozów, koni i uprzęży, które z Warszawy sprowadzono, wytkano pasy herbowne, pokupowano blachy i wiele było kłopotu, nim to wszystko uznano zadowalającym. Szukając jednego kasztanka do cugu, Bornowski sześć tygodni peregrynował, nim przyprowadził kulawego i spleczonego, który się na nic nie przydał. Julian z stoicką odwagą rzucił się w ten odmęt przygotowań i wypłynął na ląd zwycięsko... nawet pan Albert pochwalił

to co zrobiono.

Wesele było jak się domyślacie, wspaniałe. Hrabia pomimo oszczędności zaskórnej, usiłował godnie wystąpić i oddawał sobie sam tę sprawiedliwość, że nigdy okolica nie podobnego nie widziała. Niebrakło ani fejerwerku z cyframi i herbami nowożeńców, ani mnóstwa niespodzianek dosyć podejrzanego smaku, ale bardzo pokaznych. Zeni, choć trochę ją coś doszło o Poli, nadąsawszy się na przyszłego męża, który łatwo się przed nią potwarzami złośliwego świata wytłumaczył — wspaniale mu przebaczyła winę i wesoło dość skoczyła na kobierzec perski, z którego zeszła panią na Karlinie Karlińską.

Stary Gerajewicz płakał jak bóbr, ciesząc żonę, która także obfitemi zalewała się łzami, bolejąc, że Zeni tak jeszcze jest młodą!! ale pomimo to, oboje potem wieczorem ulegając usilnym prośbom gości, grali na skrzypcach i harmonice i rześiste zebrali oklaski. Gerajewicz wykonał duo z violonczellą, a pani dwa śpiewy z Oberona; nie mówię już o kwartecie, który dnia tego trzy razy z równem powodzeniem dawał się słyszeć w wielkiej sali dla nienasyconych słuchaczy, Sumak wiolonczellista, posługujący w kredensie i trochę napity, pozwalał sobie małych wybryków, ale te przeszły niepostrzeżone, gdyż Oberhill przeczuwając to, wzmacniał partję skrzypcową i fantastyka zagluszal. Nie licząc drobnych i małoważnych niepowodzeń, których niepodobna unikać w wielkich uroczystościach, ucztą weselną z illuminacją chińską kolorową w ogrodzie i ogniami bengalskimi całkowicie się powiodła. Fejerwerk kilku tylko widzów mniejszej wagi poosmalał. Ale po cóż tam leżli gbury?

Nazajutrz, na wielkim balu danym w Sytkowie, na który sproszone sto kilkadziesiąt familij, Zeni wystąpiła w starożytnych klejnotach domu Karlińskich, ofiarowanych jej przez męża przy cukrowej kolacji, o których stary Gerajewicz namiętnie lubiący cyceronować, rozpowiadał z kolei wszystkim gościom na ucho, że kosztowały swojego czasu przeszło dziesięć tysięcy czerwonych złotych, że wielki szmaragd stanowiący spięcie, pochodził z daru od jakiegoś Sultana i dany był posługującemu do Stambułu Karlińskiemu itd. itd.

Zatrulo te dwa piękne wieczory prawdziwe nieszczęście, które nawet stary Gerajewicz tak wziął do serca, że przy wieczerzy dnia następnego nic jeść nie mógł; tańczący obalili półkę z etruskami, która padła ofiarą wraz z szacowną wazą japońską, stojącą na górze... Szkodę otaksowano zaraz na trzysta dziewięćdziesiąt i pięć czerwonych złotych.

Spytać mnie jeszcze macie prawo państwo, o życie późniejsze Juliana z panną Zeni Gerajewicz, ale któżby się go nie domyślił? — Żyli nad wszystko niezmiernie przyzwocie; pieszczone dziecko nie miało szczęściem żadnych namiętnych pragnień, popisywało się z muzyką, wyzywało pochwał do których przywykło, lubiło salon i towarzystwo, napierało się podróży — ale nie pragnęło nic więcej, a że Julian był także dobrem potulnem stworzeniem, mięciuchnem i powolnem, nie przeciwił się jej nigdy, brak silnego przywiązania płacił niezmierną grzecznością i nadszaskiwaniem, żyli więc dosyć szczęśliwie i zgodnie. Wprawdzie nie dalej jak w lat dwa po ożenieniu, Karliński często wychodził niby do gospodarstwa i bawił w jakimś domowstwie w miasteczku, gdzie, jak wieść chciała, mieszkala jakaś jego

ulubienica, dawna żony służąca, wesole, chichocące dziewczę czarnookie i czarnobrewa — ale o tem jeden tylko może prezes wiedział i nie miał za nic zdroźnego, że synowiec poszedł w jego ślady. Przeniesiono nawet później Fanny do dworku pod zamkiem, ale wkrótce potem poszła zamąż za aptekarza, i Julian nie długo tęskniąc, osadził na jej miejscu drugą podobną.

Charakter tego człowieka, który energicznego występkę popełnić nie mógł, bo doń siły nie miał, składał się z drobnych cnotek towarzyskich i mnóstwa wadek znośnych, cichych, maluteczkich, a nawet przyjemnych, bo go dla drugich także wielce pobłażającym czyniły. Julian lubił wesołą rozmowę, dobre cygaro palące się ochoczo i ciągnące łatwo, wino stare, stół wytworny, kobiety nśmiechnięte i nie srogie, książki lekkie i wielkiemi drukowane literami, ludzi pobłażających i nienaprzykrzających się prośbami, a nadewszystko próżnowanie, urozmaicone rozrywkami i przeplatane odpoczynkiem. Gdy mu wypadkiem przyszło chwilę dłuższą popracować, posiedzieć, ponudzić się i zażenować, narzekał na życie, jakby go największe spotkało nieszczęście, dostawał spazmów i ból głowy. Pod względem umysłowym, miał pojęcie łatwe, rozsądku wiele, wymowę płynną i dowcip paradoksalny, ale u niego mowa nie pociągała za sobą przekonania, a sąd nie wpływał na czynności. Mówiło się co innego, myślało inaczej, robiło co łatwiej i dogodniej, jedno nie przeszkadzało bynajmniej drugiemu. Z każdym gotów był rozprawiać jak kto chciał, znajdował argumenta na poparcie wszystkiego, obronę wszelkiej czynności, uniewinnienie każdego sposobu widzenia, ale nazajutrz i wprost tamtym przeciwne zdania, zdawały mu się równem prawem

przypuszczalnemi, na równi w prawach obywatelstwa... W okolicy lubiono go bardzo i nie nazywano inaczej, tylko kochanym Juljanem, nie było bowiem grzeczniejszego, weselszego, miłszego człowieka, choć w rzeczy ani przyjaźni, ani żadnego społeczeńskiego obowiązku nie brał na serjo.

Miły ten człowiek w końcu, gdyby nie kucharz francuz, nie karty, nie wycieczki w okolice, nudziłby się może w domu, ale nikt znowu lepiej nad niego zabawy wyszukiwać i urozmaicać nie umiał. Miał zawsze pod ręką różne sposoby zabicia czasu i mordował tak godziny przylatujące doń z śmiechem, że po nich śladu nie zostawało. Prezes, potroszę Gerajewicz, trochę żona gospodarowali za niego, Pan Bóg się jakoś słabością opiekował, i Karlin do dawnej powracał świetności; Gerajewicze bowiem dali po córce półmilioną gotówką i płacili procent od drugich pięciukroć.

Emil żył przy bracie, ale po odjeździe Anny, Juljan codziennie cięższy mniej się nim coraz zajmował; siedział biedak na górze z Antonim, lub pod lipami w ogrodzie, rzadko okazywał się w salonie, gdyż Zeni się go obawiała; pocichu jeździł do Żerbów, miano nawet myśl posłać go do Warszawy, ale prezes uznał to całkiem zbytecznem. Na chwilę przebudzony umysł jego usnął znów, nie podsycany do życia żadnym silniejszym pokarmem; Emil pozostał dzieckiem, osmutniał, zdziaczał; nareszcie dnia jednego przeziębivszy się w ogrodzie, zapatrzivszy w chmury, umarł niespodzianie z jakiejś gorączki, nie mając pojęcia niebezpieczeństwa w którym zostawał. Greber przyjechał za późno... Żeby Juljanowi i żonie jego nie robić przykrości, stary Antoni nocą wyprowadził ciało jego do cmentarzowej

kapliczki i sam ubogim zajął się pogrzebem, na którym z obcych jeden był tylko Aleksy. Prezes nie kazał się wcale wysilać na uroczyste chowanie ciała i złożono je po cichu w sklepie familijnym, w czarnej sosnowej trumience.

Juljan zajęty bardzo obijaniem na nowo mebli, w tydzień się dopiero o śmierci brata dowiedział, i to przypadkiem posławszy po starego Antoniego, który dawniej tapicerował; żona jego, piękna Zeni, na której zawsze głuchoniemy przykre jakieś bardzo czynił wrażenie, niezbyt się wysilała na pociechy po stracie, a prezes otwarcie mówił, że Emilowi śmierci najwięcej życzyć było potrzeba i dawno Bóg się nad nim ulitować był powinien. Parę pokoiów Emila, których nadzwyczajna okazała się potrzeba, oddano starszej garderobianie Zeni, która się w nich natychmiast z gitarą i dwoma pieskami zainstalowała, wyrzuciwszy graty po nieboszczyku. Stary Antoni ze swoją książką do nabożeństwa i okularami poszedł dożywać reszty dni w jakiejś ciupce w oficynie; szczęściem protegował go Borowski, inaczej możeby z torbą poszedł, bo z panem Julianem, dwa miesiące czekając posłuchania, widzieć się nie mógł. Julian wówczas franki w salonie urządził, i niezmiernie był zajęty dyрекcją tego ważnego dzieła.

Zaraz po zaręczynach z Albertem, panna Anna pojechała do Warszawy razem z Zeni; wspinała przygotowywano wyprawę; pan młody pobiegł w Poznańskie, żeby sobie dom obmyśleć, bo na początek gdzieś przecie żonę wywieść wypadalo; ale jakoś to tam nie poszło. Prezes i Julian, równo z Anną zakochani w nim byli zawsze; trochę ostygli później, gdy stan majątkowy

pretendenta lepiej się wyświecił i okazało się, że nie lub tak jak nie ma; ale Anna nadto się już była do niego przywiązała, rzeczy za daleko zaszły i zrywać nie myślano... Musiano więc, nie wybierając się już w Poznańskie, wyznaczyć Annie parę folwarków z klucza karlińskiego, które Gerajewicz, nie chcąc fortuny terytorjalnej rozrywać, zapłacił, a Albertowi kupiono o mil kilka piękną wioskę wołyńską o kilkuset duszach z bankowym długiem, aby jej nie mógł prywatnie i po cichu zaszargać.

Dwór sobie sama Anna z prostotą i wdziękiem urządziła, i choć nie był wspniany wcale, pokochała go jak się kocha nadzieję.

Ślub Anny odbył się w Karlinie, po cichu, bez żadnej wystawy; nie chciano walczyć z Gerajewiczami; państwo młodzi, w godzinę po nim, siedli do karety i odjechali do Brogów, przeciwko zwyczajowi, tylko pani Delrio udała się zaraz za nimi, trwożliwie czuwając nad ukochaną Anną. Początki były tak piękne, szczęście tak zdawało pewnem, nadzieja tak silną, Albert tak czuły, żona tak w nim rozkochana, że pułkownikowa pasąc się widokiem tego Edenu, wyjechać z niego nie mogła, a gdy mówiła o córce, łzy jej w oczach stawały, przed zięciem klękała biedna.

Oddajmy sprawiedliwość Zamszańskiemu, że się później nie wiele odmienił i nie stał gorszym dobrowolnie; łatwo mu było kochać Aunę, bo któżby nie kochał anioła, ale z oczów złudzonej na chwilę kobiety spadł wprędce urok, przez który dotąd widziała wszystko.

Z tej istoty wyższej, pełnej dowcipu, okazującej tyle serca i uczucia, świetniejącej takim rozumem i nauką, Albert stał się dla niej wkrótce tem, czem był w głębi:

człowiekiem zręcznym, ale płytkim i jak wszystkie dzieci wieku, nie zaprzątnionym niczem, prócz pragnienia dobrego bytu i użycia świata. Zdziwiona Anna pozwoli przekonała się o upadku, o niższości jego, poczuła w piersi zimnej serce zamarte, chłód sceptycyzmu wiedzący z ust uśmiechnionych, a miasto myśli, formułki, które powtarzając się, zdradzały swe obce pochodzenie—nowych już nie przybywało. Smutek okrył jej czoło, boleść doznanego zawodu ucisnęła nieszczęśliwą, ale pozostawała pociecha, że świat obcy, świat dalszy zawsze uwielbiał w jej Albercie tę wyższość, w którą już ona wierzyć nie mogła...

Anna zanurzyła się w sobie, pocieszała modlitwą i surowem spełnianiem obowiązków, spoważniała jeszcze, nie poskarżyła nigdy nawet przed Bogiem, ale kochać ani szacować nie mogąc, starała się przynajmniej skryć przed oczyma ludzi wielką i bolesną omyłkę, która zatruła jej życie. Od kolebki dziecięcia spłynął na nią promień łaski; nie była już tak samotną, miała przyszłość choć nie swoją.

Z Albertem, tak świetnym, gdy mu się popisać było potrzeba i umiejącym wystąpić i zaślepić, pożycie domowe, jakkolwiek był charakteru i egoizmu łagodnego, stawało się codziennie nieznośniejsze. Wysilony na popis, gdy pozostał sam na sam z żoną, stawał się najpospolitszym z ludzi, wyczerpanym, znudzonym, żartował ze wszystkiego, z obojętnością oburzającą przyjmował co się go osobiście nie tykało, a jednemi tylko materialnemi przyjemnościami mogąc na chwilę nasycić, wszystko duchowne, o czem gdzieindziej rozprawiał z takim przejęciem i wzniosłością, lekkim zbywał szyderstwem. Wszystko aż do wad było w nim pożyczane, nie swo-

jego; bawiło go to tylko, co świat uznał za zabawne; potrzebował sankcji publicznej nawet do napoju i jadła — moda kierowała nim wszechwładnie.

Anna poskarżyć się nawet nie mogła; niktby jej był nie zrozumiał, bo dla obcych, co go widywali rzadziej, Albert zachował ten urok zwodniczy i całą pozorną wzniosłość umysłową, wyższość moralną, któremi w pierwszych chwilach i Annę oszukał. Grał tę komedję wybornie, ale na dzień powszedni zrzucał maskę i odpoczywał; potrzeba mu było widzów i oklasków.

XIX.

Słówek jeszcze o pozostałych Karlińskich, a naprzód o panu prezesie. Zaraz po weselu Anny, niespodzianie powróciła z zagranicy, po kilkoletnim pobycie, żona pana Pawła, którą wreszcie podróże znudziły; zapowiedziała w progu, że odtąd w domu mieszkać będzie i tylko kochanemu mężowi na arfie przygrywać. Nie pomalowało to prezesowi, który już się był po kawalersku rozgospodarował, pomieszało szyki, chociaż czule i serdecznie przyjął zbiega i wszystkim powiadał, że teraz dopiero żyć zacznie i odetchnie. W pewnych domowych urzędzeniach mogła być nie na rękę pani prezesowa, bo zaraz nazajutrz kogoś tam po cichu z pałacu na wieś wywieziono, ale pomogła mu za to do pożądanego owego marszałkowstwa guberskiego, dzielając gorąco jego pragnienie służenia obywatelstwu i zajęcie pierwszego stopnia w hierarchji wyborowej.

Wkrótce też nadszedł termin fatalny, i oboje pojechali do stolicy z przybory wielkimi, otwierając dom a kaptując sobie serca współobywateli. Prezes kłaniał

się drobnej szlachcie tak nisko, ścisnął woniejących czosnkiem i cebulą z tak heroiczną odwagą, poił, karmił, wodził, przyjmował, że wreszcie mógł być pewnym owocem swych starań i jednomyślnego okrzyknienia. Tymczasem licho nadało niespodziewanego współ-zawodnika, który całe lat trzy przesiedziawszy cicho, począł dopiero na dni kilka przed wotowaniem tak poić, zalewać, ścisnąć i obiecywać wiele, a na ostatku tyle wygadywał na panów i arystokrację, i tak często powtarzał, że jest brat szlachcie — iż tłumami ku sobie pociągnął.

Cóż się tedy dzieje? u Karlińskiego jest pani domu, nie sposób bardzo sobie pozwolić, choć poją ale upić się nie wypada; a tam kobiet nie ma; przyjęcie kawalerskie, wolno chodzić w kamizelkach i fajek pełno i cygara choć garściami. W wigilję tak się doskonale bawiono, tak długo szalano, tańcowano, wiwatowano, prawiono mowy, że najserdeczniejsi przyjaciele pozapominali obietnicę i wprost od śniadania poszli wszyscy wotować z entuzjazmem na kochanego NN., chociaż dopiero od pozawczoraj tak go kochać zaczęto... Wieczorem noszono go na rękach i zalano tę sprawę znowu szampanem.

Prezes tak srodze zawiedziony w nadziejach, wpadł w okrutną mizantropję po tym wypadku, powtarzał z gorzycą, że w kraju naszym nie na opiuje rachować nie można, wymyślał na szlachtę, zaprzysięgał się, że gdyby go na klęczkach prosili, żadnego więcej urzędowania nie przyjmie... I wyjechał z żoną na wieś. Mówiono mi jednak, że na następujące wybory posunął się znowu... z jakim skutkiem? — nie słyszałem; to pewna, że już żony nie wziął, cygarów kupił kilka tysięcy i każdego wchodzącego prosił, żeby nie żenując się surdut zrzucił,

a choćby i co więcej. Musieli go wybrać.

W życiu pana Atanazego, które było przedsionkiem tylko wieczności, nie mogły wielkie zachodzić zmiany. Smak rzeczy nadziemskich nie jest tak przemijający, nie przechodzi on, nie wyczerpuje się i nie przesycą człowieka — ludzkie rzeczy są płytkie, niebieskie bezdenne. Starzec, pokrzepiając się i podnosząc na duchu modlitwą, w milczeniu, z cichem cierpieniem dobiegł szczęśliwego dni końca. Umarł spokojny wybierając na świat lepszy jak na wielką i pożądaną uroczystość, z drżeniem niecierpliwości, z pragnieniem nienasyconem i bojaźnią rokoszną.

Ostatniem wejrzeniem pożegnał wiernych swoich przyjaciół, biednego Justyna, starą panią Gończarewską i poczcziwego księdza Mirejkę. Gdy w Szurze nie stało tej ożywiającej ją duszy, gdy nazajutrz po pogrzebie obejrżeli się domownicy jak wiele im ubyło z jednym człowiekiem, nikt z nich tu dłużej pozostać nie chciał. Ksiądz pojechał do klasztoru; Justyn, któremu stary zapisał Hory testamentem, poszedł do swego pustego domku i cmentarza; pani Gończarewska powlokła się za wychowawcą. Szurę z przyległościami objął Julian, gdyż prezes zrzekł się spadku na niego; mówiono mi nawet, że jego plenipotent wejrzał ściśle w formy legalne zapisu wsi Hory i probowano Justyna wypchnąć lub spłacić z posiadłości, która leżała w pośrodku dóbr Karlińskich, między Karlinem a Szurą; ale prezes na to nie pozwolił i sam pojechawszy do Poddubińca, ułożył się z nim, zostawując mu dożywocie, a nie ruszając go z miejsca pełnego drogich pamiątek.

W starym dworze w Szurze zamieszkał rządcą, którego dzieci powystrzeliwały oczy w portretach Kar-

lińskich; opuszczono kaplicę jako ciężar nieużyteczny, ale za to zaprowadzono wyrób smoly i terpentyny na wielką skalę, zupełnie nową metodą. Julian opłaca długie sosnowemi pniami, i co się zowie, robi majątek.

W Żerbach Aleksy, po śmierci Emila i Poli, po zamał-pójściu Anny, pozostał w swoim pokoiku samotny, zakopany, nie dając się z niego wyciągnąć, nie pozwalając rozweselić i rozerwać; nie mógł już powrócić do życia czynnego. Junosza żartował sobie z niego i lażał, nie to nie pomogło. Małuczko potrzebując i o przyszłości nie myśląc, Aleksy zdał wszystko na matkę i brata, a sam zamknął się z książkami, myślą i smutkiem.

Stał się tak milczącym, że często dnie całe słowa nie powiedział do nikogo; unikał ludzi, czasem tylko do Justyna jeździł i tydzień jaki z nim przebawił, włączając się po lasach i siołach, to znowu Justyn przychodził do niego i zasiadali w ogrodzie lub izdebce Aleksiego, na cicha, powolną rozmowę. Widząc jak ta samotność i zamknięcie zgubne być mogą dla niego, hrabia, który szczerze go kochał, chciał, jak mówił, wybić klin klinem i próbował go znowu w świat wprowadzić, myśląc do tego użyć domu córki, ale Drabicki silnie się temu oparł, i ani matka, ani przyjaciel nie na uim wymóddz nie potrafili. Stary Junosza zawstydział go próżnowaniem i zgnuszeniem, ale i to na nic się nie przydało. Aleksy zniósł wymówki cierpliwie, chłodno i nie poprawił się wcale; całem jego zajęciem czasem było kopanie w ogródku, oczyszczanie drzew i pielęgnowanie kwiatów; zresztą, kilka książek wystarczały mu na pokarm duchowuy.

Raz tylko i to na chwilę wyszedł z tej apatji i okazał jeszcze, że go coś na świecie obchodziło, a to w

następującej okoliczności :

Wspomnieliśmy wyżej, że jedna z sasiadek w Żerbach, pani Celestynowa, wdowa po Butkiewiczzu, mieszkała tu z wychowanką swoją Madzią; dziewczę to, pomimo domysłów rozmaitych i złośliwych, nie wiadomo z kąd pochodziło i jak się na opiekę pani Celestynowej dostało; pytana, odpowiadała zawsze, że to biedna sierota.

Im bardziej z początku pieszczona Madzia dorastała, tem więcej widać zawadzała swej opiekunce, zawsze goniącej za zamięż-pójściem i oczekującej pana Pryscjana Prus-Pierzchowskiego. Biegało to bez dozoru po wsi, bawiło się z dziećmi wiejskimi, i aż litość brała patrząc, że tak samopas się wychowywało. Madzia często zabiegała i do dworu Drabickich, a stara Drabicka, choć tak na pozór surowa, gderliwa i zajęta swoim gospodarstwem, ulitowała się losu sieroty. Pozwalała jej siedzieć przy sobie, uczyła po troszę, prostowała zepsute pojęcia, zajmowała się nią, i w końcu tak do niej przywykła, że dziewczę więcej w starym dworze niż u pani Celestynowej przebywało. Sierota nawet tak czuła, że Drabicka ma dla niej słabość jakąś, że pomimo pozorów jej surowego nic a nic się nie obawiała, i nadużywała jej czasem. Pani Celestynowej tego było i potrzeba, żeby się trochę zbyć wychowanki; rada była, że mogła być o nią spokojną, i w domu czy w odwiedzinach, nie miała jej ciągle u boku.

Madzia tymczasem rosła na śliczne dziewczę, i prawdziwa opieka Boża zbliżyła ją do tego dworu, w którym trafiła na serce, rozum i dobry przykład starej Drabickiej. Ta nie dozwoliła jej próżnować, uczyła, ale zarazem się nią posługiwała i choć czule, ale nie prze-

baczając najmniejszego dzieciństwa, po swojemu ją układała.

Trwało to dosyć długo bez przeszkody, i obie do siebie przywiązały się i przywykły; tymczasem pani Celestynowa straciła ostatnią nadzieję zamąż-pójścia, serce jej przepelnilo się goryczą i z wybuchem jakiejś zazdrości, poczęła w tem złe upatrywać, że Madzię jej odmówiono.

— Póki z nią był kłopot i tańcować kolo niej trzeba było, to mi nikt nie pomagał, a jak to dorosło, że się można posłużyć, to mi ją bałamuca. A! rozumna pani Drabicka, darmo sobie z niej zrobiła służącą... Ale z tego nic nie będzie, nie dam jej wziąć z przed nosa...

W gniewie nagłym pani Celestynowa zabroniła wychowance chodzić do Drabickich i wszelkie nakazała zerwać z nimi stosunki; ale że zamiast łagodnemi środkami przywiązywać ją do siebie, niezdolnie się obchodziła z Madzią, sierotka potajemnie raz wraz wybiegała do starego dworu.

Było to już naówczas ładne czternastoletnie dziewczę, a tak na swój wiek dojrzałe, dowcipne, pojętne i poczciwe, że jej Drabicka szczerze żałowała. Spotkawszy się Butkiewiczowa z Drabicką, nie skąpiły sobie przekasów i ostrych słówek... i te je wzajemnie rozjątrzyły; dosyć, że się widywać przestały, a ile razy się zeszły przypadkiem, nie obeszło się bez przekasów.

Byłoby to jednak zapomniało się zupełnie, gdyby Jaś, brat Aleksego, ciągle widując Madzię, nie pokochał się w niej szalenie, a ona do niego nie przywiązała zapalczywie. Stara matka zrazu tego nie postrzegła, a gdy się domyślać poczęła, rada była może, że Madzi biegać do niej zabroniono.

Wcale to jednak nie przeszkadzało młodej parze spotykać się i widywać codziennie. Jaś powracając z pola, podjeżdżał miedzą mimo dworku pani Celestynowej, stawał pod oknem i godzinami tak rozmawiali; Madzia chodziła wieczorem po ogródku, a pod płotem Jaś już na nią czekał; pod różnemi pozorami oboje się szukali, i nie było dnia, żeby choć na chwilę nie widzieli się z sobą. Tak to dziecinne z razu przywiązanie wyrosło z nimi na prawdziwą namiętność; a że pani Celestynowa bardzo była domyslną, wyszpiewowała ją wprędce. Nic jednak po sobie poznać tego nie dała i nie wiem w jakiej myśli nie przeszkadzała im wcale, udając, że się niczego nie domyśla.

Pani Drabicka długo nie posądziła syna o zajęcie Madzią; coś ją niepokoiło w jego postępowaniu, miała podejrzenia, ale nie wiedziała co to było. Nareszcie napadła ich raz na czulej rozmowie w ogródku, wysłuchiwała przysięg obojga i ogromnym zawrzała gniewem; nigdy jej przez myśl nie przeszło nawet, żeby Jaś mógł rzucić okiem na sierotę bez nazwiska, nie wiedzieć jakiego urodzenia! A że u niej co na sercu to zaraz wylewało się ustami, nie wahając się zburchała Madzię, a synowi zapowiedziała stanowczo, że nigdy nie pozwoli na nic podobnego.

— Patrzajcie!—wołała rozgniewana—jaka mi rozumna! syna mi bałamuci! sierota! przybłęda! zuajda! zapewne! I Jaś głupi przysięga, że się ożeni... otóż z tego nic nie będzie, nie pozwolę, pókim żywa nie pozwolę! jeszcze żaden Drabicki żony nie szukał pod płotem!

Napróżno syn płakał i upokarzał się przed matką, nic nie pomogło, zapowiedziała, że nie pozwoli i słuchać o tem nawet nie chciała. Trwało to rok czy więcej, ale

stosunki Jasia z Madzią wcale się nie przerwały, widywali się tylko gdzieindziej, a pani Celestynowa jakby na przekór zamykała na to oczy. Nie było sposobu przełamania oporu starej matki, Jaś schnął, smutniał i mówił już o zaciągnięciu się do wojska; ureszcie przyznał się Aleksemu, że bez niej żyć nie może i prosił o radę — Aleksey nic nie odpowiedział i kazał czekać.

Nazajutrz wieczorem, gdy matka mówiąc pacierze o szarym mroku składała w swoim pokoju, Aleksey wszedł do niej i po cichu siadając pocałował ją w rękę.

— A co to chcesz moje dziecko? spytała go czule — może tobie czego braknie? mów, serce...

— Niczego mi nie brak... kochana matko, ale bo też mojemu złamanemu życiu nic nie potrzeba...

— To i nieszczęście, żeś sobie dobrowolnie zламаł przyszłość całą! O! wiele to mnie łez kosztuje...

— A wiesz kochana matko, co mi odjęło przyszłość, nadzieję i wiarę? oto jeden ten przesąd, który ludzi rozdziela na klasy i pomyśleć nawet nie dopuszcza, by jedna mogła zbratać się z drugą...

Pierwszy raz Aleksey mówił tak otwarcie; matce łzy biegły zmarszkami twarzy, słuchała go w milczeniu.

— Niepotrzebnie zbliżyłem się do tych, którzy zawsze dla mnie obcymi być musieli, choć dłoń ich mojej szukała; pokochałem wyższą od siebie... i nie mogąc, nie śmiejąc ani wypowiedzieć co czulem, ani wejrzeniem nawet poprosić o trochę litości, w tę nienleczoną wpadłem miłość i rozpacz, z której już nigdy nie wyjdę...

— Co pleciesz, nigdy!

— Nigdy matko! Kto wie, gdyby nie pojęcia ich i moje, możeby Anua inaczej na mnie patrzała, możebym ja potrafił zyskać jej serce...

— I nie byłbyś szczęśliwy moje dziecko... odpowiedziała Drabicka — upokarzałaby cię zawsze żona.

— Ten anioł...

— Bluźnisz Aleksy...

— Ale ja nie o sobie miałem ci mówić, kochana matko! Czy chcecie żeby i drugiemu synowi serce żyć nie dało dla podobnego przesądu?

— Oho! to już o Jasiu...

— Tak, o nim — nieraz może w duszy przeklinałaś pańską dumę i pojęcie ich o swojej jakiejś wyższości, a cóż my innego robimy odpychając tę biedną Madzię, z którąby Jaś był szczęśliwy? I w nas więc jest to uczucie któreśmy w drugich potępili... dla tego, że sierota bez nazwiska, sądzim ją niegodną nas... skazujemy ich na długą męczarnię. Kochałaś Madzię matko droga, nieraz mówiłaś, że to dobre i pocziwe dziecko, dla czegożbyś jej za córkę przyjąć nie chciała? dla tego tylko, że nie wiemy kto był jej ojcem i matką??

Pani Drabicka słuchała z wielką uwagą, złyknęła parę razy ramionami i usiadła.

— Gadał sobie co chcesz, odezwała się — już ci ludzie się śmiać z nas będą... ty wiesz co o niej mówią?

— Ludzie się ze wszystkiego śmieją, odparł Aleksy — ale któżby się tym śmiechem i strachem ich szyderstwa kierował, kochana matko?

— Jasiowi to z głowy wywietrzeje.

— Nie — patrzę i widzę, że ją szczerze kocha, a Madzia płacze dnie i noce... nie bądźmy, kochana matko, okrutni, i otrząśnijmy się z fałszywego wstydu...

— Jam już stara, odpowiedziała z czułością Drabicka — mnie już nie przerobicie, przykroby mi było, żeby mój Jan wziął sierotę bez imienia, bez opieki, bez

rodziców i bez grosza... z resztą, dziej się wola Boża! ty tak mówisz mój Aleksy... róbcie co chcecie, ale mi nie każcie cieszyć się z tego...

Aleksy pocałował rękę matki, która go uściśliła w mileczeniu.

— Dziej się wola Boża, dodała — jeśli ta Madzia tak do jego szczęścia potrzebna... nie myślałam żeby Janek tak się do niej przywiązał, a i moja w tem wina żem tego wcześniej nie potrafiła przewidzieć...

Były jeszcze trudności o to, gdzie państwa młodych, gdy się pobiorą, posadzić, jak tu na wesele wystarczyć; ale pocziwy Aleksy ułatwił wszystko odstępując im swego mieszkania, a sam do niemiłej na folwark przenosząc się izdebki. Jaś mało nie oszalał i jak długi rzucił się do nóg matki, która pokiwawszy głową i pogroziwszy, więcej się do niczego mieszać nie chciała; wysłał zaraz brata do pani Celestynowej. Wdowa domyśliła się o co chodziło, ale udawała zadziwioną i robiła z razu trudności, nie chcąc się rozstać z wychowanką. Nastąpiły przecie w dni parę zgoda uroczysta i zaręczyny, a rozczulona Butkiewiczowa, sama z własnej woli Madzi zapisała część swoją, zostawując na niej dożywocie.

Był to ostatni wypadek w którym Aleksy czynny miał udział; reszta jego życia spłynęła w odosobnieniu, mileczeniu i myślach bezpłodnych. Nie mógł i nie umiał wziąć się do niczego, a gdy mu samotność zbyt przykro ciążyła, szedł do Justyna, do starego Junoszy, i z nimi kilka dni więcej oczyma niż usty rozmawiając, przeżywszy, znowu powracał do Żerbów, do swoich drzewek i książek.

EPILÓG.

Nie dwa, ale dwadzieścia cztery trzebaby malować światy, żeby ten jeden który mamy przed oczyma, w pełni nieodgadnionych jego tajemnic, sprzeczności i dziwactw przedstawić. I nie dwa ich jest w istocie! Społeczność dzieli się nieskończenie, rozdwaja, rozłamuje, wbrew prawu coby ją łączyć i jednoczyć powinno... Świat pański i szlachecki, świat szlachecki i mieszczański, świat ludowy i kapotowy, wszystko to oddzielne i im bliżej siebie stojące, tem nieprzyjaźniejsze żywiły. Wszędzie na granicy, gdzie się stykają dwie klasy, jest ta walka dwóch światów, jest to pojęcie wyższości, które nie wyradza chęci pociągania upadłych ku sobie, ale odtrąca i wydziela. Mówimy o braterstwie w Chrystusie, aleśmy go w życie nie wszczepili; każdy z nas zżyma się na wyższych co go odpychają i burzy przeciwniejszym, którzy się do niego garną. Jedne usta miotają szyderstwo na tych, do których się zbliżyć nie mogą, i tych których przyjąć nie chcą za swoich.

Tymczasem, w całym różnolitym obrazie ludzkości, jak go widzimy przed sobą, wszystko Bóg tak urządził, że jedni drugim nie zazdrościć nie mamy, ani prawa kimkolwiek pogardzać; jedno tylko udoskonalenie duchowe nas podnosi, jedno zbestwienie poniża... są wielcy w gminie i podli na górze...

Ale te wielkie prawdy wejda-li kiedy w życie? nie wiem; wątpię, bo i my ułomni, bo doskonałość, do której idziemy, jest może niedoścignioną, a pewnie bardzo daleką... Ludzkość przeżyła w ostatnich czasach wielce nauczającą epokę, a coż z niej pozostało? oto

prawem sprzeczności, po zrównaniu bezmyślnem ludzi, którzy nigdy równymi duchem być nie mogą, rosną zuów fałszywe pojęcia, odradzają się przekonania feudalne, i w nowej szacie otrzymują prawo obywatelstwa, trwalsze może niż dawniejsze.

Tak jest! równość pomiędzy nami niepodobieństwem — ale ani urodzenie, ani krew, ani imię nie jest bezpośrednio warunkiem wyższości; Bóg ją daje, nie ciało... I w niebiosach nie na jednym szczeblu stoją aniołowie, których doskonałość zbliża i oddala od tronu Bożego; i na ziemi nie równiśmy sobie, bo myśl co podnosi jednego, w drugim spi nieobudzona... ale darem Bożym, a choćby i pracą własną dumnyni nie mamy być prawa. Rozum sam, nauka, jasność pojęcia nie dźwigają nas wyżej, jeśli serce skrzydeł nie przypnie; czyn dopiero i miłość podnoszą i uzacniają, a miłość powinna być czynną, a czyn musi być miłością przejęty...

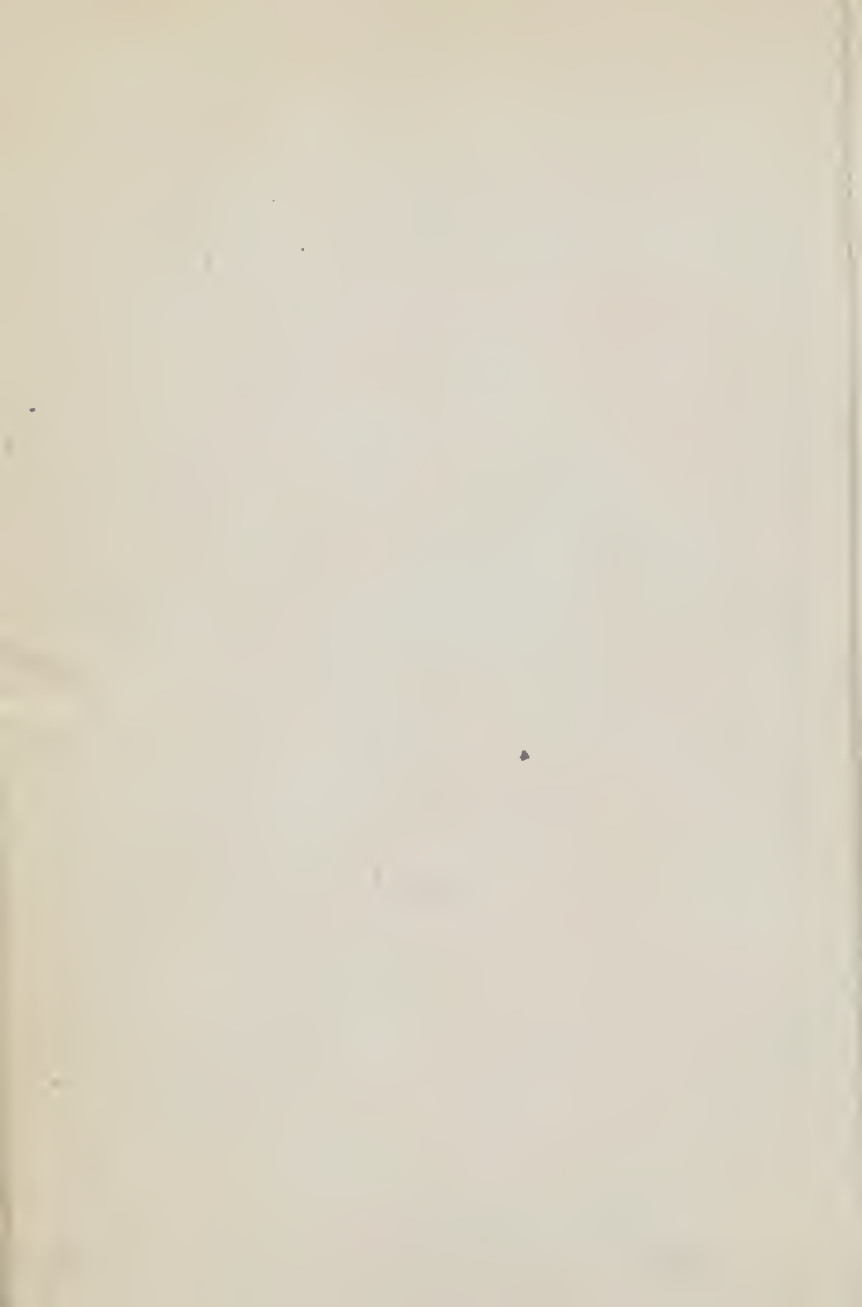
— Co to takiego piszesz? kazanie? — spytał mnie zaglądając przez ramię, przybyły niespodzianie gość jakiś ciekawy.

— Tak, coś nakształt niego, ale to zakończenie powieści.

— A słyszałeś kto, żeby przez cztery tomy wyczerpawszy cierpliwość czytelnika, jeszcze ją na taką wystawiać próbę... Myślisz, że dowiedziawszy się o losie twoich bohaterów, zajrzy kto jeszcze w sens moralny? Ot, wierzaj mi, porzuć to i chodźmy na przechadzkę.

— Z duszy i serca, i ja to wolę; chodźmy.

Nie było więc sposobu dokończyć epilogu, a może miał słuszość przybyły doradca, że na nicby się nie przydał.



Biblioteka Raczyńskich

JIK **1420**



JIK1420